Rok II. Lipiec, Sierpień 1917. Nr. 7—8.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 18 kor., za półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Lipiec—Sierpień 1917. ROK POLSKI Rok II. Nr. 7. i 8.

Dostęp do morza przez cudze ziemie.

Ciężka szkoła wojny, w której kształci się polska myśl polityczna, wydaje już poważne rezultaty. Społeczeństwo polskie rozumie teraz doniosłość wielu rzeczy, przedtem nieznanych zupełnie lub niedocenianych. W początkach wojny naprzykład idea dostępu do morza wydawała się jakąś abstrakcyą, daleką od realnych programów politycznych; dzisiaj jej zrozumienie staje się coraz bardziej powszechnem, sięga coraz głębiej. Coprawda są jeszcze czynniki, które szerzą pod tym względem bałamutne wyobrażenia. Niedawno piotrkowskie „*Wiadomości Polskie*" przytaczały jako osobliwość ten fakt, że Anglicy nie wyobrażają sobie niepodległości państwa polskiego bez dostępu do morza, tłómacząc ten pogląd wyspiarskością narodu angielskiego. Ale przecież tak myślą także wszystkie kontynentalne narody, i trzeba chyba mieć umysł zaćmiony jakąś tendencyą polityczną, by sądzić inaczej. Fryderyk List, najwybitniejszy przedstawiciel narodowego kierunku w ekonomii niemieckiej porównywał naród pozbawiony żeglugi morskiej do ptaka bez skrzydeł, do rycerza z drewnianym mieczem, do heloty i parobka ludzkości. „Kto niema swego udziału na morzu, jest wykluczony od dobrych rzeczy tego świata, jest pasierbem naszego Pana Boga". A u nas Stanisław Smolka, pisząc w „Polityce Lubeckiego" o sprawie „Dostępu do morza" (T. II), zaczyna ten rozdział od słów: „Dostęp do morza, to kwestya życia, rozwoju dla każdego narodu"; według tego autora odepchnięcie Polski od morza był to fakt, „który Polskę zepchnął z drogi prawidłowego rozwoju wszelkich warunków bytu, ekonomicznych, społecznych i politycznych".

Jest to idea prosta, jasna, której właściwie w innych warunkach nie trzebaby uzasadniać i rozwijać. Ale najprostszą i najjaśniejszą ideę można wykrzywić i zamącić sofisteryą polityczną, można jej nadać w razie potrzeby karykaturalne sformułowanie. Tak się ma rzecz i z omawianym postulatem polityczno-geograficznym. Ci wszyscy, którym trudno pogodzić się z jego konsekwencyami, usiłują rzucać pomysły częściowego czy kompromisowego jego załatwienia. Chcą znaleść takie wyjście z piętrzących się w okół nich trudności politycznych, by przy tem był i wilk syty i koza cała. Nie bardzo troszczą się o to, że to wyjście z trudności nie będzie wcale wyjściem na nasze morze. To też warto uprzytomnić sobie, co ta idea oznacza, a raczej na jakie manowce zbacza ona w niektórych umysłach.

Jeżeli naród dąży do tego, by uzyskać własny dostęp do morza, to przedewszystkiem dlatego, że wymaga tego jego byt i rozwój gospodarczy. A więc opanowanie morza musi być tego rodzaju, by pozwalało na podjęcie gospodarczego współzawodnictwa z innymi narodami, na utrzymywanie z nimi samodzielnych stosunków handlowych. Nie każdy dostęp do morza odpowiada w całej pełni temu postulatowi. Gdy kraj jakiś położony jest nad morzem odciętem politycznie lub geograficznie od głównych szlaków handlu światowego, to wtedy może rozwijać handel tylko z najbliższymi sąsiadami. Z powodu zamknięcia cieśnin Morze Czarne nie miało dla Rosyi pełnej doniosłości i jedną z sprężyn wojny światowej jest właśnie ta kwestya cieśnin. Dalej koniecznem jest, by własny brzeg morski zawierał w sobie przynajmniej jeden wielki port, nadający się na oparcie dla większych statków oceanicznych. Dla Bułgaryi pełnego wyjścia na morze egejskie nie daje Dedeagacz, mogłoby go dostarczyć opanowanie Salonik. Dla Austro-Węgier Tryest i Fiume mają wielekroć większe znaczenie gospodarcze, niż całe wybrzeże dalmatyńskie z wszystkimi portami, kwalifikującymi się tylko do przybrzeżnej żeglugi. Taki główny port państwowy musi być dobrze uposażonym już przez naturę, przebudowa techniczna kosztuje bardzo wiele i z trudem na nią może się zdobyć naród ubogi. A dalej, w krajach północnych zmiany klimatyczne odbierają wartość wielu portom. Im dłużej w roku port jest zamknięty lodami, tem mniejsze jest jego znaczenie gospodarcze. Pod tym względem upośledzonych jest wiele portów bałtyckich i im dalej posuwamy się na wschód wybrzeżem

Bałtyku, tem gorzej się przedstawiają tamtejsze porty. Wreszcie doniosłą, niemal konieczną jest rzeczą, by główny port handlowy państwa był połączony z wnętrzem kraju w sposób dogodny przedewszystkiem odpowiednią drogą rzeczną, która wtedy staje się główną arteryą komunikacyjną dla handlu zewnętrznego i wewnętrznego. Komunikacya z portem zbyt odległym, położonym na ustroniu zdala od centrów gospodarczych jest kosztowna, nie pozwala wyzyskać wszystkich zalet nadmorskiego położenia.

Widzimy z tych krótkich uwag, że czasem nawet własny brzeg morski nie daje w całem tego słowa znaczeniu dostępu do morza i że rozwój narodowego gospodarstwa mocno jest wtedy skrępowany. Naród musi walczyć o istotny dostęp, odpowiadający wszystkim warunkom dzisiejszej światowej przemiany.

Są jednak tacy, którzy tak daleko idących obaw nie żywią. Rezygnują nawet z własnego morza, pytają się, czy nie uda się uzyskać dostępu do niego przez cudze ziemie? Czy nie można zadowolnić się pewnem uprzywilejowaniem obrotu w należącym do obcego państwa kraju nadmorskim, bez naruszania praw zwierzchniczych tegoż państwa? Wtedy dostęp do morza nie opierałby się na pełnem posiadaniu wybrzeża i portu, a ograniczał do pewnego rodzaju serwitutu, podobnego do tych, które wytworzyły się w prawie prywatnem dla uregulowania stosunków sąsiedzkich.

Myśl ta jest już dość dawną, próbowano ją czasami zrealizować w praktyce. I własnie nasze, niezbyt odległe dzieje, dostarczają tutaj bardzo charakterystycznego historycznego przykładu. Rzecz ta wypłynęła na kongresie wiedeńskim, została zlikwidowana w kilka lat później. Mimo przedziału stu lat analogie historyczne są bardzo silne, zarówno ze względu na udział tych samych interesowanych czynników, jak i przedmiotowe warunki, w których zjawia się ta kwestya w obecnej dobie.

Kongres wiedeński załatwił połowicznie sprawę polską. Zakreślił ciasne granice powołanemu przez siebie do życia Królestwu. Rozumiano dobrze, że ten stan rzeczy nie może zaspokoić pragnień polskich, które nigdy nie rezygnowały z wielkiej, potężnej Polski. Chcąc dać choć w części rekompensatę za te zawiedzione nadzieje, wprowadzono do aktów kongresowych postanowienia, urzeczywistniające w zasadzie jedność handlowo-gospodarczą ziem, które stanowiły Rzeczpospolitę polską w r. 1772, przyznano im swobodny obrót z morzem bałtyckiem. Artykuł XXIV. traktatu,

zawartego dnia 21. kwietnia 1815 r. między Rosyą a Austryą, wypowiada zasadę, że w granicach dawnej Rzeczypospolitej z r. 1772 ma być zupełnie wolną żegluga dla mieszkańców tego terytoryum na rzekach spławnych dzisiaj i w przyszłości i na sztucznych kanałach. Ta sama zasada dotyczy korzystania z portów. By zabezpieczyć wolność żeglugi, postanawia artykuł XXVI., że na wszelkich drogach spławnych można wprowadzić tylko jednakowe dla wszystkich opłaty, bardzo umiarkowane, ustalone za obopólnem porozumieniem, wyłącznie tylko w celu utrzymania dróg i kanałów w stanie spławnym. Zmiana tej opłaty może nastąpić tylko za obustronną zgodą. Również zasada wzajemności obowiązuje co do kosztów korzystania z mających się zbudować kanałów. Drugi ważny punkt tego traktatu dotyczy wolności tranzyta. Przewóz towarów ma być niczem nieograniczony we wszystkich częściach dawnej Polski. Opłaty cłowe będą możliwie najniższe, oparte na zasadzie największego uprzywilejowania (XXVIII). W wykonaniu tego postanowienia mają być mianowani przez obydwa państwa specyalni komisarze, czuwający nad przeprowadzeniem zasady wolności importu i eksportu między ziemiami polskiemi (XXIX). Traktat między Rosyą a Prusami, zawarty tego samego dnia co poprzedni, zawiera analogiczne postanowienia, z tą różnicą, że ten traktat idzie nawet dalej. Naprzykład w artykule XXV. znosi wyraźnie wszelkie uciążliwe opłaty składowe i przewozowe, sprzeczne z zasadą wolności żeglugi, a w artykule XXVII. przyznaje prawo wzajemnego ustanawiania konsulów i ajentów handlowych. Artykuł, dotyczący swobodnego obrotu towarów, jest sformułowany bardziej stanowczo w traktacie rosyjsko-pruskim, aniżeli w rosyjsko-austryackim. Wprowadza on na terytoryum dawnej Rzeczypospolitej z r. 1772 „najbardziej nieograniczony obrót wszystkich wytworów i produktów rolnych i przemysłowych tych prowincyi". Taryfa cłowa musi być utrzymana w minimalnych granicach. By uniknąć przemycania towarów obcych, wszystkie produkty ziem polskich mają być zaopatrzone certyfikatem, świadczącym o ich pochodzeniu (XXVIII). Także i tranzyt towarów przez dawne ziemie Rzeczypospolitej ma być zupełnie wolny, poddany tylko najbardziej umiarkowanej opłacie (XXIX).

Wszystkie te postanowienia traktatowe są całkiem jasne, niedopuszczają dwuznacznego tłómaczenia. Poprostu wprowadzają one w życie zasadę jedności gospodarczej dawnych ziem polskich.

Kongres wiedeński zbudował państwo polskie w ciasnych granicach i jakgdyby chcąc wynagrodzić tę krzywdę, chciał zabezpieczyć ziemiom polskim, które wiekowem współżyciem zrosły się w jedną całość, swobodny obrót gospodarczy, a w szczególnosci niezbędny dla Królestwa dostęp do morza. Koncesye te nie mogły wynagrodzić braku jedności politycznej, w każdym razie jednak były ważną zdobyczą gospodarczą.

Niestety, wszystkie te koncesye pozostały tylko na papierze. Państwa, które uroczyście zobowiązały się do wykonania tych traktatów, wkrótce po ich podpisaniu zaczęły je lekceważyć i negować. Chciały z nich skorzystać przedewszystkiem Prusy, by skłonić Rosyę na tej podstawie do ustępstw w jej systemie protekcyjnym. Zaczęły podnosić cło, utrudniać żeglugę, odmawiać wolnego przejazdu przez Wisłę, szykanować różnymi sposoby handel Królestwa. Naprzykład przy rokowaniach w r. 1816 oświadczyły, że Prusy wtedy zgodzą się na wolną żeglugę po Wiśle i innych rzekach, gdy Rosya skłoni Holandyę do ustępstw w obrocie handlowym na Renie. Interesy Królestwa Polskiego nie miały też gorliwych obrońców w dyplomacyi rosyjskiej. Jeden tylko Lubecki walczył z wielką wytrwałością o wykonanie tych traktatów, o wolność obrotu gospodarczego i dostęp do morza, ale walczył bezskutecznie. Utrzymała się taryfa pruska, tłumiąca swobodny obrót towarów z Królestwem, odcięła je od portu gdańskiego. Już wtedy traktaty międzynarodowe faktycznie uznano za strzęp papieru, za coś, co się szanuje, o ile jest poparte siłą i o ile dogadza własnemu egoizmowi państwowemu.

Nie warto w tej chwili opisywać toczonych na tem tle długich i zawiłych rokowań dyplomatycznych, gdyż zawiele trzebaby przytaczać szczegółów z dziejów ówczesnej polityki handlowej. Dość, że po kilku latach zupełnie zapomniano o tych postanowieniach, dotyczących jedności gospodarczej ziem Polski. Nasunąć się nawet może pytanie, czy już w samych początkach traktowano je na seryo, czy poprostu nie wypowiedziano tych pięknych zasad li tylko dla uspokojenia Polaków, *ut aliquid fecisse videatur.* W każdym razie trzeba zaznaczyć. że nie były to wtedy jakieś fantastyczne idee, lecz coś, co mogło być wykonanem. Prawda, że pełna realizacya tych punktów traktatowych wymagała oddzielenia dawnych ziem polskich osobną granicą celną od reszty państw rozbiorczych, ale przecież wtedy wewnętrzne linie celne nie były

rzadkością, były niemi pocięte Prusy i Austrya. Zasada wolnośc żeglugi po rzekach spławnych była ideą, popularną wtedy na Kongresie wiedeńskim dzięki nowym prądom ekonomicznym, wypowiedzianą w ogólniejszy sposób i w innych traktatach.

Dopiero dzisiaj tego rodzaju postanowienia natrafiłyby na prawie nieprzebyte trudności. Dzisiaj każde państwo dąży do wprowadzenia największej jednolitości gospodarczej na swojem terytoryum, jedność polityczna coraz ściślej nakrywa się z jednością gospodarczą. Żyjemy w okresie centralizującego działania gospodarstwa państwowego, które nie sprzyja autonomiom gospodarczym, a już zasadniczo jest przeciwnem wiązaniu pewnych części państwa z obcym ekonomicznym organizmem. Dzisiaj państwa oddzielają się od siebie murami taryf protekcyjnych, których nie są w stanie przebić piękne hasła wolności gospodarczej i swobody żeglugi.

Czy jednak te myśli, którym dały wyraz traktaty wiedeńskie, nie dadzą się zrealizować w inny sposób, bardziej przystosowany do współczesnych warunków państwowo-gospodarczych? I jakkolwiek losy traktatów wiedeńskich jak uczą nas największego sceptycyzmu co do postanowień, których wykonanie jest pozbawione sankcyi i pozostawione późniejszym układom, to mimo to spróbujmy omówić to zagadnienie.

W jakiż więc sposób państwo, pozbawione własnego dostępu do morza, może ten dostęp uzyskać przez cudze ziemie? Chodzi tu o to, by państwo, panujące nad wybrzeżem, nie wyzyskiwało państwa położonego dalej od morza, nie traktowało go tak, jak się traktuje *„Hinterland“*, a przeciwnie zabezpieczyło mu swobodny obrót po tej niezbędnej drodze handlowej. Realizacya tej idei wydaje się czemś łatwem: oto towary, krążące między portami a danym krajem, położonym wewnątrz, należy uprzywilejować w obrocie celnym, uwolnić od wysokich ceł, słowem, zabezpieczyć im wolność tranzyta. Ale niestety, międzynarodowa polityka handlowa bardzo mało zna wypadków takiego jednostronnego uprzywilejowania. Za wszelkie ustępstwa trzeba dobrze zapłacić. Mogła Austrya domagać się od powstających państewek bałkańskich, by utrzymane zostały w nich te przywileje handlowe, które dawniej przysługiwały jej z tytułu szeroko pojętego obrotu granicznego z Turcyą — ale to są ciężary wyjątkowe, które zrzuci z siebie każde naprawdę samodzielne państwo. Służebności mię-

dzynarodowe są rzeczą stosunkowo rzadką, dotyczą zwykle małych skrawków ziemi i bardzo specyalnych ułatwień; np. na tej drodze uzyskuje się prawo do przemarszu wojska przez obce terytoryum, prawo budowy kolei, wykonywania rybołostwa, utrzymywania stacyi węglowych itd. Te ograniczenia praw zwierzchniczych sąsiedniego państwa są często rodzajem haraczu, płaconego przez nie z powodu nieuporządkowania stosunków wewnętrznych lub politycznej słabości. Nowoczesne państwo, mające poczucie swojej siły, nie zgodzi się na takie jednostronne skrępowanie.

Jeżeli państwo, odcięte od morza, pragnie mieć swobodny obrót przez terytoryum sąsiada, graniczącego z morzem, zdoła ten cel uzyskać tylko za cenę wzajemnych ustępstw. A więc za swobodny obrót na terytoryum sąsiada musi zabezpieczyć swobodny obrót dla niego na swojej ziemi. Zachodzi tu wymiana wzajemnych usług, każdą koncesyę należy wyrównać innem ustępstwem. O ile chce się poprzestać tylko na skromnem uprzywilejowaniu własnego handlu, np. na tak często stosowanej klauzuli największego uprzywilejowania, to analogiczne ustępstwo trzeba przeprowadzić we własnym systemie handlowym. Ale takie ustępstwo, streszczające się w stosowaniu najniższych ceł, nie zawsze może wystarczyć, o ile chodzi o prawdziwy dostęp do morza. Naprawdę doniosłym jest zupełnie swobodny obrót gospodarczy, a wtedy trzeba pod tą lub inną postacią zawrzeć z sąsiadem unię celną, czyli zrzec się własnej polityki handlowej. A unia celna, jak dobrze już wiadomo, prowadzi do coraz ściślejszego zjednoczenia gospodarczego Ujednostajnia się pod jej wpływem coraz bardziej ustawodawstwo handlowe, system podatkowy, stosunki kredytowe. Jeżeli taką unię zawierają rozdzielone dotychczas części jednego narodu, to przygotowuje ona powstanie zupełnie jednolitego państwa. Jeżeli dwa narody, o równej sile politycznej, których gospodarstwa narodowe wzajemnie się uzupełniają, wchodzą w taki związek, może on być źródłem obopólnych korzyści. Jeżeli jednak stosunek sił jest nierówny, silniejszy organizm oplata i wchłania słabszy, przygotowuje upadek jego niezależności politycznej.

Tak więc naród, odcięty od morza, staje przed smutną i trudną alternatywą. Albo zachowa się odpornie wobec państwa, które ma w swoich rękach porty nadmorskie i wtedy utrzymując na razie swoją niezależność polityczną, rezygnuje z prawidłowego rozwoju gospodarczego, z pełnego udziału w owocach gospodarstwa

światowego. Albo też ten naród zwiąże się unią celną czy też w inny sposób z nadmorskim sąsiadem, a wtedy wzamian za gospodarcze, bezpośrednie korzyści ogranicza swoją niezależność i swobodę ruchów, wchodzi w orbitę wpływów przemożnego sąsiada, z której wydobyć się nie łatwo, chyba tylko dzięki jakimś katastrofom dziejowym. Wybór naprawdę trudny i szczęśliwym jest ten naród, który nie potrzebuje wybierać między temi rzeczami.

Czy jednak dostęp do morza musi prowadzić przez całą ziemię sąsiada i przez to plątać zbyt ściśle wzajemne stosunki handlowe; czy nie można ograniczyć go do swobody ruchów na głównej arteryi komunikacyjnej — np. na spławnej rzece? Nasuwa się tu myśl, wypowiadana przez prawo międzynarodowe, że zasadę wolności morza należy rozciągnąć i do spławnych rzek, przepływających lub oddzielających od siebie różne terytorya państwowe. Ideę tę sformułowała rewolucya francuska. Dekret wydany 16. listopada 1792 r. przez „*Conseil executif provisoire*“ wypowiedział pierwszy zasadę, że „bieg rzek jest wspólną i niepozbywalną własnością wszystkich narodów osiadłych nad ich wodami i bezprawnie tylko jakiś naród może twierdzić, że jest uprawnionym do wyłącznego korzystania z koryta rzeki i odmawiać tych korzyści sąsiadom, zajmującym te brzegi w górnym biegu“. Kongres wiedeński poszedł jeszcze dalej, wypowiadając zasadę wolności żeglugi na rzekach spławnych, przebiegających różne terytorya państwowe dla wszystkich bez wyjątku, a nie tylko dla państw nadbrzeżnych. Praktyczny wyraz znalazła ta idea w uregulowaniu żeglugi na szeregu rzek, z których najważniejszą była sprawa Renu. W r. 1856 rozciągnięto zasadę umiędzynarodowienia biegu rzeki do Dunaju, w r. 1885 do Konga i Nigru w Afryce.

Doświadczenia praktyczne, jakie porobiono w Europie z zasadą umiędzynarodowienia spławnych rzek, przedstawiają się dość nieszczególnie. Naprawdę trudno jest przeprowadzić wolność żeglugi wtedy, gdy wchodzą w grę kolizye ważnych interesów państwowych i gospodarczych. Przepisy prawa międzynarodowego, jak wogóle przepisy wszelkiego prawa, nie wiele znaczą bez władzy wykonawczej. A tymczasem organy wykonawcze międzynarodowe mogą coś znaczyć dla małych nadbrzeżnych państewek, np. bałkańskich, ale nie uda się ich zorganizować w stosunku do udzielnego w pełni mocarstwa i ograniczyć jego praw zwierzchniczych. Ma ono różne sposoby na to, by bez jawnego gwałcenia

przepisów prawa międzynarodowego obrócić w niwecz jego cele i zasadę wolności żeglugi na spławnej rzece sprowadzić do minimum, o ile chodzi o słabszego sąsiada. Ostatecznie w stosunkowo znacznym stopniu może utrzymać charakter międzynarodowy spławna rzeka, która stanowi granicę dwóch lub paru państw nadbrzeżnych. Wtedy ten pas graniczny ma naprawdę charakter neutralny, nikt wyłącznie nad nim nie wykonuje nadzoru. Ale jeżeli jakieś państwo włada ujściem rzeki do morza po obydwu stronach, to trudno przypuścić, by ono nie chciało wyzyskiwać tej sytuacyi kosztem odciętego od morza sąsiada. Można tak uregulować policyę rzeczną, tak skonstruować opłaty przewozowe pozornie jednolite, tak zorganizować transporty, że kraj, położony wewnątrz lądu znajdzie się w wielkiej zależności od sąsiada.

Pozatem dostęp do morza ma wtedy pełną doniosłość, gdy jest dostępem zarówno czasu pokoju jak i czasu wojny, a nawet w razie wojny wzrasta doniosłość tej komunikacyi ze światem. Gdy ten dostęp wiedzie tylko przez cudzą ziemię, każdy najmniejszy nawet zatarg z jej władcą może postawić państwo wobec katastrofy gospodarczej i politycznej. Deską ratunku nie staną się przepisy prawa międzynarodowego o spławnych rzekach, gdyż one nawet w normalnych czasach są dość kruchą podstawą. A nie potrzeba zresztą krwawego zatargu zbrojnego, wystarczy wojna cłowa, by wywołać represye i szykany i wstrząsnąć regularnym obrotem gospodarczym z zamorskimi krajami.

Także z innych jeszcze powodów nie może wystarczyć samo umiędzynarodowienie spławnej rzeki, stanowiącej jedyne wyjście na morze. Umiędzynarodowienie biegu rzeki dotyczy samej tylko wody, nie daje dostatecznego oparcia na jej brzegach i na morskiem wybrzeżu. Pod tym względem zwierzchnicze prawa państwa nadmorskiego pozostają nienaruszone. Może ono tak zorganizować obrót portowy, by poskromić dążenie da samodzielności u swojego sąsiada. Jest na to wiele sposobów, a żadne międzynarodowe zasady tutaj nie pomogą. A wreszcie dostęp do morza wtedy uda się w pełni wyzyskać, gdy wiedzie on zarówno biegiem rzek spławnych jak i liniami kolejowemi. W obecnej fazie obrotu światowego przewóz towarów kolejami i przewóz towarów śródlądowemi drogami wodnemi wzajemnie się uzupełniają. Towary, których nie opłaci się przewozić droższą koleją, wysyła się rzeką lub kanałem wodnym. Nie podobna oprzeć się wyłącznie

na transporcie jednego tylko rodzaju. Jeżeli spławna rzeka zamarznie zimą lub stan jej wód obniży się zanadto skutkiem suszy, kraj, który ona jedynie łączy z szerokim światem, zostanie od niego odcięty. Na nic tu nie przyda się teoretyczna wolność żeglugi, panem sytuacyi będzie ten, kto ma w swoich rękach resztę środków komunikacyjnych.

Krótko mówiąc, jeżeli niema własnego dostępu do morza, to na nie wiele zdadzą się choćby jak najbardziej zachwalane jego surogaty. Nie trzeba się łudzić, by w wypadku, w którym jedno państwo panuje nad drogami wiodącemi do morza, a drugie jest od niego odcięte, udać się mogło na stałe zharmonizowanie tych sprzecznych interesów ku obopólnemu zadowoleniu. Sytuacya taka jest nienaturalną pod względem geograficznym i rozwój wypadków prowadzi, wcześniej czy później, do jej rozplątania. Albo państwo nadbrzeżne opanuje gospodarczo kraj, położony wewnątrz lądu, albo też ten kraj przebije się do morza i zdobędzie je własną siłą. Walka o dostęp do morza, to jedno z wielkich, ostatecznych źródeł konfliktów wojennych, to główny cel świadomej polityki państwowej nieraz na całe stulecia. Trudnem jest życie tych narodów, które zaniedbały to zadanie, które niedoceniając doniosłości własnej drogi morskiej, zadowolniły się złudnymi kompromisami. Podbój państwa nieraz zaczyna się od tego, że ktoś inny odcina je od morza, opanowuje jego porty. Wtedy trzeba albo te straty wyrównać i dostęp odzyskać z powrotem, albo pogodzić się z losem i zrezygnować z naprawdę niepodległego bytu.

O wyniku tych walk rozstrzyga wzajemny stosunek sił, zręczność polityczna, konjunktury międzynarodowe. Zdarza się czasem, że swoją niezależność utrzymuje małe państwo, położone nad morzem, mimo że potężny sąsiad radby opanować ujście swoich rzek. Przykładem Belgia i Holandya. Ale nad utrzymaniem niezależności tych państw czuwają potężne interesy mocarstw współzawodniczących z Niemcami, zresztą dla Niemiec własny dostęp do kanału nie stanowi *conditio sine qua non,* gdyż mają one otwarte inne własne morza. Z reguły jednak przy równowadze sił politycznych, kraj panujący nad morzem jest stroną, uprzywilejowaną w tem współzawodnictwie. Jest on w położeniu producenta monopolisty w stosunku do nabywcy, który zapłaci za towar każdą cenę, bo mu jest on niezbędnie potrzebnym. Nietylko w pozaeuropejskich

koloniach, lecz także i w Europie może na tej drodze odbywać się *pénétration pacifique,* która z czasem doprowadza do zwyczajnego militarnego podboju, a w każdym razie podcina korzenie samodzielnego rozwoju kraju położonego wewnątrz lądu. To też smutnym jest zwykle los „*Hinterlandu*“, choćby to był „*ein riesiges Hinterland*“, który obiecywał stworzyć w parlamencie wiedeńskim polski poseł socyalno-demokratyczny. Naród, który rozumie, czem jest niepodrabiana niepodległość, wysuwa postulat, by jego droga do morza przez własną poprowadziła ziemię.

Roman Rybarski.

„Zemsta“ Fredry, jako komedya tradycyjna.

Nie odrazu zaczął Fredro obmyślać *Zemstę*, jako komedyę historyczną: jak świadczy jej pierwszy rzut, a raczej jej pierwszy obszerny i dokładny, w drobnych szczegółach obmyślany, scenaryusz, miała to być zrazu zwykła sobie komedya, której motywy konstrukcyjne miały być zresztą te same, co w późniejszej *Zemście*, tylko że osoby miały być inne: Baron, mieszkający „w jednym z dwóch zamków, na górze postawionych“, porzuca zamiar poślubienia młodej swojej pupilki i krewnej, Aliny, i zamyśla o małżeństwie z wdówką, panią Rublową, do której wysyła Papkiewicza z oświadczynami; ten sam fanfaron i kłamca będzie posłem i do Kiełbika, który mieszka w drugim z owych dwóch zamków i z którym się Baron kłóci; ten Kiełbik ma syna, który się żeni z Aliną; na imię temu synowi Wacław: to jedno imię ostało się w późniejszem opracowaniu; ani Dyndalskiego, ani Śmigalskiego, ani Perełki, ani, co za tem idzie, tych scen, w których oni w ostatecznej redakcyi występują, w pierwszym rzucie niema.

Oprócz scenaryusza dochował się szczęśliwie autograf *Zemsty*, który jednak nie jest jeszcze ostateczną jej redakcyą. W autografie tym dadzą się wyraźnie wyróżnić dwie redakcyie komedyi, wcześniejsza i późniejsza, rzucające ciekawe światło na zmiany, jakim uległ pierwszy pomysł. Oto niebawem (jak się zdaje) po naszkicowaniu ogólnego planu przyszła Fredrze myśl napisania komedyi historycznej; w tym celu na odwrotnej stronie tej samej karty papieru, na której się ten plan znajduje, sporządził sobie spis kilkudziesięciu wyrazów staropolskich z dodaniem ich dzisiejszego znaczenia, np. r o s t ą = rosną, k i l k o = kilkoro, c h ę t l i w e = życzliwe; a wszystkie te wyrazy są wypisane z poezyi Kochanowskiego: czyżby zrazu chciał Fredro osnuć zamyślaną komedyę hi-

storyczną na tle wieku XVI? Jeżeli miał taki zamiar, to go poniechał i umieścił akcyę w wieku XVII, mianowicie w roku 1664; Cześnika w tej komedyi jeszcze nie było: został Baron, zarywający z francuska; Kiełbik zato ustąpił już miejsca Milczkowi, a i zamiast Papkiewicza był już Papkin, ale na imię miał nie Józef, tylko Dymitr; Dyndalskiego prawdopodobnie jeszcze nie było. Ukazał się dopiero w redakcyi późniejszej, tej, w której akcya odbywa się już w znacznie późniejszych czasach: po sfrancuziałym Baronie ani dymu, ani popiołu nie zostało; zastąpił go konfederat barski, Cześnik Raptusiewicz, w całym blasku swojej polskości. Lecz i ta późniejsza redakcya jeszcze nie jest ostateczną: Papkin, chociaż zmienił już imię Dymitr na Józef (ojca swego, Jana, nie wyparł się), ale śpiewa jeszcze jakąś aryę włoską, nie zaś piosenkę o kocie; Cześnik sprasza już gości na swoje gody weselne, ale jeszcze nie konferuje z Perełką w sprawie cynamonu, szafranu i tortu z cyfrą. Piosenka o kocie i konferencya z Perełką będą dopiero w redakcyi ostatecznej, t. j. w tej, którą dzisiaj znamy już tylko w druku, która się zresztą nie wiele różni od ostatniej rękopiśmiennej. Spisu dawnych wyrazów nie potrzebował już sobie Fredro sporządzać: przecie słownik tych czasów, w jakich się odbywa akcya *Zemsty*, żył jeszcze za czasów jego młodości nietylko w pamięci, ale i w ustach, starszego pokolenia; przecie Fredro znał jeszcze z pewnością niejednego konfederata barskiego, niejednego rejenta starej daty i niejednego starego sługę, przywiązanego do swego pana, jak wierny pies, i ślepo wierzącego w jego wielki rozum; mógł ich wszystkich poznać w ziemi sanockiej, z której pochodził także szlachcic Krzyżanowski, żywy pierwowzór Papkina, w tej samej ziemi, która się stała tak bogatą kopalnią typów staropolskich dla Pola i Kaczkowskiego. Akcyę *Zemsty*, która się zrazu miała odbywać w krośnieńskiem, skoro pierwotny swój testament pisał Papkin w zamku odrzykońskim, możnaby równie dobrze umieścić w sanockiem; zresztą mniejsza o to: kolorytu lokalnego tej lub owej ziemi polskiej *Zemsta* nie ma, pomimo że utwór to od stóp do głów polski.

Ważniejszą jest rzeczą, choćby tylko dla zrozumienia wyjątkowego stanowiska tej komedyi w historyi poezyi polskiej, wiedzieć, na jakie czasy przypada akcya. Czy stanowczo i bezwarunkowo, jak się to zwykle myśli, na wiek XVIII, na ostatnie lata Rzeczypospolitej? Nie koniecznie. Jest wprawdzie jedno miejsce

w *Zemście,* które, zdawałoby się, zniewala do umieszczenia akcyi w tych czasach:

He, he, he, Pani Barska!
Pod Słonimem, Podhajcami,
Berdyczowem, Łomazami
Dobrze mi się wysłużyła!

Ale czy tych samych słów nie mógłby mówić stary Cześnik w wieku XIX? Przecie z dalszych jego słów jasno wynika, że konfederacya barska, w której walczył, to dla niego już dawne, dawne wspomnienie:

Inna też to sprawa była!
Młódź, acz dzielna, w boju dziarska,
Prym dawała starszym w radzie,
Tak, jak w poczet Bóg nas kładzie:
Ale teraz to się staje,
Że od kury mędrsze jaje.

Najwyraźniej przeciwstawia tu Cześnik czasy nowe dawnym, jak to lubią czynić ludzie starzy, tęsknie się oglądający za młodością. Wprawdzie do starości Cześnik się nie przyznaje:

No, nie sekret, żem nie młody,
Alem także i nie stary.

Niechże i tak będzie, ale, biorąc pod uwagę, że, jak mówi przysłowie, „starzy sobie lat ujmują, młodzi przydają“, a i to jeszcze, że Cześnik ma podagrę, kurcz żołądka, że go „rumatyzmy jakieś łupią“, powiedzmy dla ostrożności (żeby się Cześnik w grobie nie przewrócił), że, kiedy się chciał żenić z Podstoliną, miał lat sześćdziesiąt pięć z okładem. W takim razie nic a nic nie przeszkadza do umieszczenia akcyi *Zemsty* w pierwszych latach XIX wieku, dajmy na to około roku 1810: wstępując do konfederacyi barskiej, miałby Cześnik (a właściwie jeszcze nie Cześnik) lat z górą dwadzieścia, co się też w zupełności zgadza z jego pochwałą dzielności i karności młodzieży barskiej, którą przecie nie po co innego chwali, tylko żeby módz pochwalić także i samego siebie.

Naturalnie, że to wszystko jeszcze nie dowód, aby się akcya *Zemsty* odbywała około roku 1810, to tylko możliwość. Lecz jest i dowód. Mówi Papkin do Podstoliny:

Właśnie miałem szczęście
Mieć u siebie na wieczerzy
Lorda Pembrok, kilku panów,
Cały tuzin szambelanów...

Rozumie się, skłamał, jak zwykle: nie miałby za co wyprawić wieczerzy, a gdyby nawet miał, toby tak dostojne towarzystwo do niego nie przyszło. Ale skąd Papkin mógł tak kłamać? — bo przecie kłamca zawsze chce, żeby ludzie, jeśli mu nawet nie wierzą, to przynajmniej mogli uwierzyć, więc coś prawdy w kłamstwie zwykle jest: wieczerzę z lordem Pembrokiem i szambelanami wyssał sobie Papkin z palca, ale ani samego lorda Pembroka, ani szambelanów z palca sobie nie wyssał; mógł ich naprawdę widzieć — w Wiedniu. Jeżeli do dziś dnia nie brak u nas takich, którzy powracają z Wiednia do domu wniebowzięci i ze łzami szczęścia w oczach opowiadają rodzinie i przyjaciołom, że byli na śniadaniu u tej lub owej ekscelencyi albo w przedpokoju u tego lub owego szambelana: to cóż dopiero w epoce, kiedy wszystko, co wiedeńskie, było jeszcze bardziej „nasze", aniżeli dziś, w epoce, kiedy się ukazywały w druku takie np. *Uwagi patryoty austryackiego* (1809), w których o Wiedniu nie mówiło się inaczej, tylko „my". Otóż — to nie ulega żadnej wątpliwości — Papkin przyjechał do Cześnika (a przynajmniej mówił, że przyjeżdża) świeżo po bytności w Wiedniu. A w Wiedniu gościł wówczas, jako nadzwyczajny ambasador angielski, znany na szerokim świecie ze swego męstwa generał, Jerzy August Herbert lord (a właściwie earl) of Pembroke: było to w roku 1807. Do Lwowa ani do Krakowa, a cóż dopiero w Sanockie, nie zajrzał ani razu lord Pembrok, więc go Papkin mógł oglądać tylko w Wiedniu, gdzie też mógł widzieć i ową „księżnę grecką", która (oczywiście tylko w jego własnej bujnej fantazyi) zerknęła na niego z karety.

Czy z tego wynika, żeby się akcya *Zemsty* miała odbywać koniecznie w roku 1807? Nie, idzie jedynie o to, że ją sobie Fredro wyobrażał niekoniecznie w XVIII wieku, że się mogła doskonale odbyć dopiero w wieku XIX, kiedy się przecie wiejski obyczaj staropolski długo jeszcze utrzymywał w swojej dawnej czystości i krasie. Mówiąc nawiasem, to przesunięcie akcyi *Zemsty* z wieku XVIII na pierwsze lata XIX, to znaczy na epokę wojen napoleońskich, czyni o wiele zrozumialszemi kłamstwa Papkina, chwalącego się, że

Znają Szwedy, Muzułmany,
Sasy, Włochy i Hiszpany
Artemizy ostrze sławne
I niem władać ramię wprawne:

iluż to samochwałów wydać musiały wojny napoleońskie!

Lecz mógłby ktoś powiedzieć, że ostatecznie to wszystko jedno, w którym czasie umieścić akcyę *Zemsty:* jeżeli obyczaj staropolski był po wsiach mniej więcej ten sam w XVIII, co w XIX wieku, to po co i na co łamać sobie głowę, w którym wieku Cześnik pogodził się z Rejentem, a Wacław poślubił Klarę? czy nie dosyć wiedzieć i rozumieć, że *Zemsta* jest komedyą obyczajową? Nie, nie dosyć, bo warto jeszcze wiedzieć i rozumieć, że *Zemsta,* jako komedya historyczna, nie ma nic wspólnego z różnemi komedyami historycznemi, które literatura francuska znała już w wieku XVIII, ale które się dopiero w wieku XIX, za przewodem Lemerciera, zaczęły ukazywać, jak grzyby po deszczu (tym deszczem był naturalnie romantyzm), a treści szukały sobie w czasach dawnych, niekiedy nawet bardzo dawnych. U nas śladami Francuzów poszedł poczciwy Dmuszewski: jego komedyo-opera *Tadeusz Chwalibóg,* której akcya odbywa się w Trembowli w roku 1675, jest, jak się do tego otwarcie autor przyznał, przeróbką z francuskiego, podobnież jak inna jego komedya historyczna: *Odwet czyli Barbara Zapolska.* Przyznał się i Niemcewicz, że jego *Giermkowie Króla Jana* to tylko przeróbka jakiegoś wodewilu francuskiego; nie zamilczał o źródle francuskiem i autor komedyi historycznej *Miłostki Zygmuta Jagiellończyka.* Kiedy Fredro zamierzał umieścić akcyę *Zemsty* w wieku XVI czy XVII, wówczas szedł, być może, śladami Francuzów: ale kiedy ją ostatecznie umieścił nie w dalekiej, tylko w bardzo niedalekiej przeszłości, którą bądź znał z tradycyi, bądź oglądał na własne oczy za czasów młodości, wówczas poszedł za swoim własnym rozmysłem; a ten własny rozmysł powstał oczywiście pod wpływem nie jakiejś teoryi literackiej, tylko żywego przykładu, pod wpływem rodzimej literatury tradycyjnej. *Pana Tadeusza* ani *Pamiątek Soplicy* jeszcze nie było, ale byli już dawno *Dwaj Sieciechowie,* były *Listy Elżbiety Rzeczyckiej,* był *Dziennik Franciszki Krasińskiej,* był i *Popas w Upicie.* Oryginalność Fredry polegałaby na tem, że pomysł posiłkowania się tradycyą, jako materyałem dla powieści i gawędy, zastosował do poezyi dramatycznej. A zresztą dlaczegóż genezę

Zemsty, jako komedyi tradycyjnej, miałoby się koniecznie tłómaczyć wpływami literackimi? czy nie mógł Fredro wpaść na ten pomysł bez cudzej pomocy? czy, gdyby się nawet z czasem pokazać miało (co do niemożliwości nie należy), że bajkę *Zemsty* zawdzięcza Fredro jakiejś gotowej komedyi francuskiej, — czy nie mógł własnym rozmysłem nadać jej takiego, a nie innego kolorytu i charakteru artystycznego? Tak czy inaczej, *Zemsta* należy do najwcześniejszych utworów naszej bogatej literatury tradycyjnej XIX wieku, jest po *Panu Tadeuszu* jej najpiękniejszą perłą, nie mówiąc już o tem, że jest nietylko pierwszą, ale i jedyną naszą komedyą tradycyjną. *Wąsy i peruka* Korzeniowskiego to już komedya, ściśle biorąc, nie tradycyjna, tylko historyczna, do której napisania musiał autor bądź co bądź poczynić pewne studya nad epoką Stanisława Augusta, kiedy tymczasem Fredro do napisania *Zemsty* nie potrzebował żadnych studyów, co najwyżej potrzebował przyjaciół, którzyby

pomogli rozmowie
I do pieśni rzucali... słowo po słowie;

a o takiej *Zosi Przybylance* Skarbka szkoda i mówić: czy to komedya historyczna, czy tradycyjna, miejsce dla niej ma jedynie bibliografia, nie historya literatury. Słowem *Zemsta*, jako komedya, to utwór osamotniony w literaturzy polskiej, to naprawdę fenomen w historyi dramatu polskiego!

Nie zlokalizował dokładnie Fredro akcyi swojej komedyi tradycyjnej (poczynając sobie pod tym względem inaczej, jak autorowie powieści i poezyi tradycyjnych, którzy kładli osobliwy nacisk na koloryt miejscowy): „Scena na wsi", gdzie, w której stronie Polski, tego nie napisał; wolno się wprawdzie domyślać, że w Sanoczyźnie, ale to zarówno dla rozumienia, jak dla odczuwania estetycznego, komedyi, rzecz najzupełniej obojętna. Nie osnuł także Fredro *Zemsty* — znowu inaczej, jak autorowie poezyi i powieści tradycyjnych — na żadnem ściśle określonem tle jakiegoś konkretnego zdarzenia dziejowego: jedyna wzmianka o poszczególnych wypadkach historycznych, o bitwach konfederacyi barskiej, to tylko wspomnienie dawnych czasów. A pomimo to wszystko czyby Mickiewicz — przy całym swoim wstręcie dla „wszystkich wysp i krajów, których niema na mapie" i wszystkich zdarzeń, „których niema w historyi", — wypowiedział o *Zemście* sąd

niekorzystny, gdyby wogóle wspomniał coś o Fredrze w *Prelekcyach paryskich?* Można być pewnym, że nie: przecie, jeśli kto, to właśnie on odczułby, że duch niedawnej przeszłości w całej swojej prawdzie i piękności wieje z *Zemsty* tak silnie, jak, z wyjątkiem *Pana Tadeusza,* z żadnego innego utworu polskiej poezyi przeszłości. Odsłoniła się tutaj całkiem niespodzianie cała jedna nowa strona wielkiego talentu Fredry: zdolność odczuwania ducha niedawnej przeszłości i jej plastycznego uobrażania, umiejętność wczuwania się w dusze dawnych ludzi. Że obok tych czynników fantazyi twórczej odegrał także pewną rolę czynnik uczuciowy — właściwa każdemu kulturalnemu człowiekowi miłość przeszłości narodowej, to także wątpliwości nie ulega, chociaż naturalnie tak ogromnej roli, jaką odegrało uczucie nietylko w genezie *Pana Tadeusza,* ale i w pracy artystycznej nad nim, w genezie *Zemsty* i w pracy artystycznej nad nią nie odegrało, choćby już dlatego, że Fredro nie potrzebował szczęśliwie tęsknić do kraju lat dziecinnych, jak Mickiewicz, bo patrzał nań oczami nietylko duszy, ale i ciała.

W jakiż sposób, zapomocą jakich środków artystycznych wskrzesił i uplastycznił Fredro ducha dawnych czasów? Sam już pomysł zasadniczy — spór sąsiedzki o zamek — przenosi nas w szlachecką przeszłość Polski. Obok zaś tego głównego pomysłu jest w *Zemście* szereg rysów obyczajowych: konkury Cześnika i dyspozycye, jakie daje Perełce co do gód weselnych, nie pozwalając żałować „cynamonu i muszkatu i wszelkiego rodzaju aromatu", ani szafranu, ani bakalii, ani słodyczy na tort z cyframi:

M. H. — M. H. — Maciej, Hanna,
W górze serca, w dole *vivat;*

stosunek Cześnika do starego sługi; zamierzony pojedynek; rozmowa Rejenta z mularzami i jego despotyczny stosunek do syna; szybki ślub Klary na rozkaz jej opiekuna: oto tło obyczajowe *Zemsty.*

Na tem zaś tle ukazują się dwie postaci, dwa największe arcydzieła charakterystyki fredrowskiej, wcielające w sobie szlachecką przeszłość Polski, która się skrystalizowała ostatecznie w wieku XVII i przetrwała epokę upadku Rzeczypospolitej: Cześnik i Rejent. Już Pol zdawał sobie jasno sprawę z charakteru historycznego tych dwóch postaci i słusznie wyraził się w *Pa-*

miętniku do literatury polskiej XIX wieku, że „są to dwa wielkie historyczne typy polskie, tak jak one się rozwinęły w przeciągu dziejów oryginalnie w niezawisłości polskiego obywatela i w pieniactwie przewrotnego palestranta". Ale powiedział jeszcze za mało, bo Cześnik i Rejent to nietylko typy życia historycznego szlachty polskiej, typy dwóch jej głównych powołań i zajęć, ale także typy dwóch różnych, sprzecznych, jak ogień i woda, jak dzień i noc, natur polskich (zresztą nietylko polskich). Obydwaj, jak przystało na dawną szlachtę polską, są niezmierni ambitni i niezmiernie dumni. Ale jeden — sangwinik czyli „krewnik" (według terminologii Reja), szczery, jak dziecko, serce na dłoni, w gruncie rzeczy dobre i miękkie; głowa do myślenia nietęga, ale się zawsze w niej coś pali, jedna myśl ciągle popędza i wypędza drugą, w jednym kierunku długo pracować nie może, a stąd szybkość, ale też i nietrwałość, postanowień, które się ciągle zmieniają; gorączka, impetyk, raptus, rozcinający, nie rozplątujący, węzły życia, zdolny nietylko do różnych ekscesów, ale może nawet — w przystępie gniewu — do zbrodni, a przynajmniej do gwałtu. Drugi — przy pozorach flegmatyka choleryk, zamknięty w sobie, obłudny, zacięty, na twarzy jagniątko, a w sercu żmija, w słowach miód, a w duszy piołun; głowa trzeźwa i chłodna, umiejąca powoli i porządnie myśleć; wola silna, dążąca do celu wytrwale i uparcie, nie przebierając w środkach, ale zawsze pod płaszczykiem woli bożej i ludzkiego prawa, zdolna do najobrzydliwszych czynów, a nawet do zbrodni, i to na chłodno, z rozmysłem. Bardzo trafnie i obrazowo mówi Tarnowski, że, „jeżeli wszyscy ludzie są choć trochę do jakichś zwierząt podobni, to Cześnik ma coś natury lwiej,... w gniewie posunie się do gwałtu, najedzie, zagrabi, zburzy albo spali przeciwnika, ale rychło zapomni, a zapomniawszy, pojedna się i nagrodzi; Rejent ma złość cichą i zimną, jak zwierzęta o zimnej krwi; jego gniew nie rozlega się krzykiem w powietrzu, co najwięcej syczy; jego zemsty nie słychać, kiedy się przybliża: on się czai, jak lis, kąsa milczkiem, jak gadzina. Jeden, gdyby jego złe skłonności wzięły górę i gdyby znajdował wielkie w świecie stanowisko, urażony, podniósłby rokosz, jak Zebrzydowski o kamienicę: drugi, jak Radziejowski, wyniósłby się chyłkiem i sprowadziłby Szwedów".

Otóż te dwie natury, z których pierwsza jest w Polsce nierównie pospolitsza od drugiej, objawiły się i rozwinęły w Polsce

nadewszystko w dwóch powołaniach, pozostających w ścisłej łączności ze stanowiskiem społecznem. Przedstawicielem pierwszego powołania i położenia społecznego jest Cześnik, syn może senatorski, jeżeli sam nie karmazyn, to w każdym razie z karmazynami skoligacony i napewno bardzo zamożny; po ukończeniu (albo i nieukończeniu) szkół, poszedł prawdopodobnie na dwór jakiego krewnego-magnata, a potem osiadł na roli ojców, gospodarował i polował, pomnażał fortunę, piastował urzędy ziemskie, jeździł po sejmikach, pojedynkował się, ale i dla ojczyzny przelewał krew chętnie, jako konfederat barski, mocno wierzący, że walka ze stolnikiem litewskim jest świętym obowiązkiem względem Rzeczypospolitej: Cześnik to typ zamożnego ziemianina-posesyonata i rycerza w jednej osobie. A przedstawicielem drugiego powołania i położenia społecznego jest Milczek, prawdopodobnie syn ubogiego ziemianina-szaraczka; ukończył z pewnością nietylko szkoły średnie, ale i akademię, nie w Krakowie zapewne, tylko we Lwowie, u jezuitów (od których bardzo wiele skorzystał w sztuce obłudy i krętactwa), a potem poszedł do palestry, został rejentem i, skrobiąc piórem, łamiąc sobie głowę, gnąc kark, a może i gubiąc duszę, ciułał grosz do grosza i dopiero na starość, kiedy sumka była już pokaźna, nabył wieś w okolicy zamku, którego część posiadał, nie wiedzieć, czy prawem, czy lewem, i osiadł na roli, z mściwością i żalem w sercu do posesyonatów, od których w palestrze nieraz może doznał zniewagi i upokorzenia, ale z ambitnem poczuciem równości szlacheckiej: Milczek, to typ dawnego szlachcica-palestranta.

Jest jeszcze trzecia, jak najściślej do dawnego świata szlacheckiego należąca: Dyndalski, marszałek Cześnika, ubogi szlachcic, do swego pana, jak wierny pies, przywiązany, a chociaż sam rozsądny, mający swoje własne zdanie, trochę nawet uczony (skoro wie, że list miłosny trzeba zacząć od słów: „cnym afektem ulubiony"), nie śmiący jednak wobec pana upierać się przy swojem, tem więcej, że w wielkim rozumie Cześnika pokłada nieograniczone zaufanie.

I to jest jeden świat w *Zemście* — ten, który pozostał wierny obyczajowi ojczystemu, którego ani duszy, ani twarzy nie zmieniła napływająca do Polski od XVIII wieku cywilizacya francuska. Dzięki tej cywilizacyi powstał w Polsce świat nowy, który pogardził obyczajem ojczystym, jako „dzikim" i „barbarzyńskim", świat,

w którym zresztą zmiana twarzy dokonała się o wiele łatwiej, niż duszy. Dosyć, że przeciwieństwo pomiędzy dwoma światami, dwoma pokoleniami, stawało się coraz to wyraźniejszem, co się też i w literaturze odzwierciedliło, i to już w XVIII i na początku XIX wieku: jest przecie ten kontrast już w *Panu Podstolim* Krasickiego, w *Sarmatyzmie* Zabłockiego, w *Powrocie posła*, w *Panu Nowinie*, i w *Mniemanej sierocie* Niemcewicza. Ulubionym jednak stanie się ten kontrast dopiero po roku 1831, w literaturze tradycyjnej, która, im dalej w czas, będzie go coraz więcej wyjaskrawiała, póki go w *Listopadzie* nie przejaskrawi zaciekły konserwatyzm Rzewuskiego. Utwory wcześniejsze nie kładą jeszcze na przeciwieństwo dwóch światów tak silnego, jak później, nacisku artystycznego, ale je zaznaczają już wyraźnie. Zaznacza je Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, zaznacza je i Fredro w *Zemście*. Stary Cześnik narzeka, że się świat do góry nogami przewrócił; nie może się połapać z nowemi modami w sprawach sercowych:

Owe jakieś bałamutnie,
Afektowe świegotanie —
Niech mi zaraz łeb kto utnie —
Nie potrafię, Mocium Panie!

A cóż dopiero, kiedy ma układać list miłosny od nowoczesnej panny do nowoczesnego kawalera:

Tylko że to, Mocium Panie,
Aby udać, trzeba sztuki,
Owe brednie, banialuki,
Jak tu zacząć, Mocium Panie?

Jeżeli, niechając Klary, chce się żenić z Podstoliną, to pomiędzy innemi dlatego, że

Zna proporcyą, Mocium Panie,
I nie każe fircykować,
Po kulikach balansować.

Lecz mówiąc nawiasem, zawiódłby się Cześnik: Podstolina, kiedy ją Cześnik przy oświadczynach cmoknął (w twarz, czy w rękę, tego Papkinowi nie powiedział), spłonęła wprawdzie, „jak alkiermes“, i „w pokorze“ oświadczyny przyjęła; ale można być pewnym, że po ślubie kazałaby mężowi „fircykować, po kulikach

balansować". Albowiem, chociaż nie pierwszej młodości, chociaż zdążyła już pochować i opłakać trzech mężów, jest Pani Podstolina — choćby tylko przez swoje lekkie obyczaje — damą nowoczesną, krewną pani kasztelanowej Wejherowej z *Listopada* i powinowatą Telimeny, mającą niemniej żywą (i niemniej uprawnioną) ochotę wydania się za Wacława, jak Telimena za Tadeusza.

Wacław i Klara to także już nowy świat! Wacław, który zapewnia Klarę, że nie żąda od niej niczego więcej, tylko żeby mu się kochać pozwoliła, że z tą miłością „stanę w niebie, — Bogiem, będę żył rozkoszą", i który później, kiedy mu i Klara wyznała swoją miłość, woła:

Co za szczęście, rozkosz, radość!
Dzięki niebu, ziemi, słońcu!,

który jeszcze później mówi do Klary:

Patrz, jak rószczka rószczkę splata,
Jak ku sobie kwiat się skłania,
Któż nam, Klaro, tego wzbrania? —

Wacław nie ma już nic wspólnego z kochankiem starej daty, któryby się zupełnie inaczej starał o rękę panny, zabiegając przedewszystkiem o względy nie jej, tylko ojca lub opiekuna, nie mówiąc już o tem, żeby nie dziękował za szczęście ani niebu, ani ziemi, ani słońcu, i nie mówiłby o rószczkach i kwiatach: tego wszystkiego nauczono się w Polsce dopiero w końcu XVIII wieku, od czułych poetów w rodzaju Karpińskiego.

A Klara? Ona się już, inaczej jak młoda panna starej daty, przetarła na wielkim i modnym świecie, mieszkała zapewne przez czas dłuższy, i to nie w Lublinie, jak Aniela z *Sarmatyzmu* Zabłockiego, ale we Lwowie, a może nawet i w Warszawie; i tamto, w salonach, doskonale posiadła sztukę żartobliwej, to komplementującej, to ironizującej, a zawsze nieszczerej, literackiej rozmowy salonowej z modnymi kawalerami, której potem pokaże tak świetną próbkę w rozmowie z Papkinem, obiecując mu swą rękę pod warunkiem, że prócz dowodów posłuszeństwa i wytrwałości da jej jeszcze próbę śmiałości i przystawi jej żywego krokodyla.

Biedny Papkin! Krokodyla nie złapał, Klary nie dostał, Rejent kazał go zrzucić ze schodów, Cześnik zwymyślał i nastra-

szył, że go otruto, pomnika na grobie nikt mu nie postawił, jego kolekcyę motyli zniszczyły zapewne dzieci pani Klary, — jakby mało było tego wszystkiego, po śmierci nawet nie dano mu spokoju. Mniejsza o to, że go krytycy nazwali tchórzem, samochwałem, pieczeniarzem, kłamcą, błaznem: te komplementy słyszał nieraz już za życia; ale czego za życia z pewnością nigdy nie słyszał, to tego, że nie jest Polakiem. Po śmierci dopiero odmówiono — jemu, który tak ubolewał, że „szlachta nasza“ na psy zeszła, że

Siedzi na wsi — sieje, wieje —
Zrzędzi, nudzi, gdera, łaje,
A dać wina — to nie staje, —

odmówiono mu już nawet nie szlachectwa, ale polskości, i miano go to za Moskala, to za Francuza. Z jakiej racyi? Czy ten, czyje nazwisko kończy się na *in,* ma być koniecznie Moskalem? Było dwóch poetów Kniaźninów: jeden był Moskalem, ale drugi Polakiem, i to jeszcze jakim! Co do pochodzenia francuskiego, ubierał się wprawdzie Papkin po francusku: nosił szpadę, „krótkie spodnie, buty okrągłe do pół łydki, tupet i harcopf, kapelusz stosowany“: ale w takim samym stroju przyjechał do ojca pana Podkomorzego pan Podczaszyc,

Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku!
Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,

może nawet nazywali go Szwabem, ale nikt przecie nie wątpił, że to Polak. Jakże się inaczej miał ubierać Papkin, on, który miał u siebie na wieczerzy lorda Pembroka? Strój francuski Papkina jest tylko jednym dowodem więcej, że Fredro w *Zemście* świadomie charakteryzował dwa światy polskie: Papkin jest przedstawicielem świata nowego, „modnego“, jak go ironicznie nazywali zwolennicy staroświecczyzny. Ubierał się po francusku, szpadę swoją nazwał Artemizą, ale był Polakiem; grywał na angielskiej gitarze, ale śpiewał przy niej starodawną piosenkę polską o kocie; przepadał także za winem węgierskiem, którego, jak wiadomo, nie lubią Francuzi (ani Moskale).

Lecz zobaczmy nieco dokładniej, kto to jest ten Papkin, „lew północy, rotmistrz sławny i kawaler“. Ze stanowiska historyczno-literackiego jest to niewątpliwie *miles gloriosus,* stary typ

tchórza-samochwała, skombinowany z nowym typem fircyka XVIII wieku; jego rysy charakterystyczne zawdzięcza Fredro nietylko literaturze, — nietylko Pyrgopolinicesowi Plauta, czy też jakiemuś jego potomkowi literackiemu oraz różnym fircykom z komedyi i satyr, — ale z pewnością także i życiu: iluż to samochwałów musiał Fredro poznać podczas służby w szeregach napoleońskich! Poznał może i niejednego Francuza, który naprawdę nazywał swoją szpadę czy szablę Artemizą i który się podczas wyprawy na Moskwę przezywał chełpliwie „lwem północy“: wszystko to ofiarował potem Fredro Papkinowi. Ale ten przez to wszystko nieco zfrancuziały Papkin jest Polakiem, jest mianowicie trochę polskim dworakiem-pieczeniarzem, a trochę polskim totumfackim, tylko już nowego pokroju: wychowywał się przecie już za Stanisława Augusta, a może i wcześniej, w każdym razie w epoce szerzenia się francuszczyzny w Polsce. Kiedy Cześnik opowiada Papkinowi, że

ojciec Klary
Kupił ze wsią zamek stary,

Papkin przerywa:

Fiu! mój ojciec miał ich dziesięć!

Skłamał naturalnie, ale tym razem nie zupełnie, bo tylko przesadził: ojciec jego nie miał dziesięciu zamków, nie miał może żadnego, ale miał z pewnością majątek, miał wieś. Bo Papkin pochodził, jak się zdaje, z rodziny zamożnej, a może i z dobrej szlachty: nie śmiałby inaczej tak sobie żartować z szaraczka-rejenta. Czy naprawdę służył w wojsku? Z pewnością: w epoce, kiedy „bóg wojny“

Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych,

sposobności po temu nie brakło; ochoty zapewne nie było, ale był mus. To jednak wszystko będzie dopiero później: w młodym wieku jeździł zapewne Papkin na czas dłuższy do Paryża, gdzie sobie (jakby powiedział Naruszewicz)

...głowę wymeblował modnemi nauki:
Umiał robić pomadę, ustrzępić peruki,...
I po to tylko jeździł pocztą za granicę,
Aby przywiózł do Polski modne rękawice.

W Paryżu prowadził oczywiście życie równie hulaszcze, jak Mikołaj Doświadczyński, to też nadszarpnął majątku, a po powrocie do kraju stracił go ze szczętem; stracił i dobre imię, bo przyzwyczajony do zabaw, do uciech, do wygód, potrzebował na gwałt pieniędzy i nie przebierał w środkach ich zdobycia: a stąd wpadł w jakieś ciężkie opały, z których wyciągnął go Cześnik, może ze względu na znajomość z jego ojcem. Od tego czasu Papkin był na łasce i niełasce Cześnika, który mu zapewne nieraz groził:

> Rzecz to znana, iż w mej mocy
> Kazać zamknąć Waszmość pana
> Za wiadome dawne sprawki.

Oto dlaczego Papkin musiał robić wszystko, co mu Cześnik kazał, musiał być naprawdę jego totumfackim. Na stałe u niego nie zamieszkał: Aniby sobie cześnik tego nie życzył, ani on. Na rezydenta do krewnych także nie poszedł, bojąc się, żeby w zamian za kawałek chleba nie wymagano od niego jakiejś stałej pracy, do której żywił nieprzeparty wstręt. Wolał więc czepiać się klamki raz tego, raz owego z dawnych znajomych ojca czy własnych, wolał być wyjadaczem i pieczeniarzem całej okolicy, której się tak wysługiwał, jak mógł, choćby urządzając kuligi, układając wiersze weselne i ody pochwalne, mówiąc komplementy w rodzaju tych, jakie prawił Klarze, itp.; jak ów Sanoczanin Krzyżanowski, „ostatni egzemplarz dworaka, pieczeniarza, wyjadacza dawniejszych czasów“, tak i Papkin, „półbłazna, półszlachcica, wszędzie był domowym“. Blagować i chełpić się umiał już dawniej: niedarmo satyry i komedye XVII wieku tak pomstują na kłamliwą chełpliwość modnych kawalerów, powracających z Francyi; później, kiedy poszły ostatki majątku, kiedy się wraz z nimi ulotniło wszelkie znaczenie, wszelkie stanowisko, kiedy i dobre imię przepadło, szukał zrazu w bladze i przechwaleniu się poprostu ratunku, a widząc, że się z tego ludzie wesoło śmieją, śmieszył ich umyślnie, stając się powoli już nietylko coraz większym samochwałem, ale i błaznem. A jak to często z kłamcami bywa, zaczął powoli sam, przynajmniej w części, wierzyć, jak Chlestakow w komedyi Gogola, w to, co innym o sobie opowiadał, z coraz większą łatwością wierzył w różne swoje przewagi czy na polu bitwy, czy w salonach, czy w buduarach.

A jego tchórzostwo? Może było po części wrodzone; ale po części jest także skutkiem życia Papkina, utraty imienia i znaczenia: ludzie wykolejeni, jeżeli nie mają hartu moralnego, są najczęściej tchórzami, boją się ludzi, wyższych od siebie majątkiem, bo wiedzą, że oni sobie z biednymi nie będą robili ceremonii, wiedzą, że są przyjmowani tylko z łaski, a kto się w czyjąś łaskę wkrada, ten wreszcie traci ze szczętem godność własną.

Że te wszystkie cechy Papkina Fredro wyjaskrawił, że postać ta niejednokrotnie, jeśli nawet nie zawsze, trąci mocno karykaturą, to nie ulega najmniejszej wątpliwości: ale w istocie swojej postać to prawdziwa, mająca pod sobą realny grunt w polskiej kulturze obyczajowej XVIII wieku.

Tyle o charakterze historycznym *Zemsty,* dzięki któremu komedya ta, raz jeszcze, zajmuje wyjątkowe stanowisko w historyi dramatu polskiego, jako jedyna godna nieśmiertelnej pamięci komedya tradycyjna.

Jeszcze jedna uwaga. *Zemsta* jest komedyą: czy kto jednak wyniósł z teatru po jej przedstawieniu wrażenie albo żal do Fredry, że ośmieszył naszą przeszłość? Chyba nikt. A dlaczego? Nietylko dlatego, że humor Fredry w *Zemście* jest pogodny, wesoły, nie złośliwy, nie uszczypliwy, nie satyryczny, ale i dlatego, że zakończenie jest takie, jakie jest: trzy ostatnie sceny są już poważne, a z nich jedna, scena spotkania się Cześnika z Milczkiem, dzięki polskiemu sercu Cześnika, dzięki staropolskiej gościnności, nawet wzniosła; komizm przy końcu komedyi ustępuje miejsca nie tylko powadze życia wogóle, ale jego pięknej, dobrej, idealnej stronie:

C z e ś n i k.

Niechże będzie dziś wesele,
Równie w sercach, jak i w dziele —

(podając rękę Rejentowi)

Mocium Panie, z nami zgoda!

(Rejent przyjmuje rękę z nizkim ukłonem.)

W s z y s c y.

Zgoda! zgoda!

W a c ł a w.

Tak jest, zgoda,
A Bóg wtedy rękę poda!

Jedyna to komedya Fredry, która się kończy — Bogiem, i ta jedyna komedya — warto zaznaczyć ten fakt w twórczości Fredry — jest komedyą tradycyjną, odzwierciedlającą obyczaj staropolski i duszę staropolską.

Ign. Chrzanowski.

Oświata i kultura ludu polskiego i jego udział w życiu narodowem.

W artykułach p. t. „Siła liczebna...“ i „Posiadłość ziemska chłopa polskiego“ („*Rok Polski*“ ze stycznia, marca i kwietnia 1917 r.) podjęto próbę ujęcia najliczniejszej warstwy ludowej — rolnego chłopa polskiego — pod względem materyalnym. Doszliśmy do wniosku, że ten chłop liczebnie zajmuje górujące w narodzie stanowisko, bo obejmuje przeszło 79% ogółu ludności polskiej, zamieszkałej w Ściślejszej Polsce; że natomiast pod względem posiadłości ziemskiej jego pozycya jest znacznie skromniejsza: Wprawdzie w obrębie Polski Ściślejszej w jego rękach jest skupione przeszło 57% całego obszaru, znajdującego się tu we władaniu polskiem, ale, jeżeli także uwzględnić ziemską własność polską Krajów Zabranych, która przeważnie jest większą własnością, natenczas udział polskiej własności chłopskiej w ogólnym obszarze posiadania polskiego spada do niespełna 30%.

Na podstawie tych danych można chłopu naszemu dość łatwo wyznaczyć miejsce w narodzie — o ile chodzi o materyalną stronę rzeczy: miejsce w każdym razie poczesne. Trudniejsze jest to określenie, jeżeli uwzględnić duchową dziedzinę życia narodowego. Ponieważ mamy tu do czynienia z rzeczami mniej uchwytnemi, przeto zdani jesteśmy na ocenę subjektywną, skazani tylko na poglądy — zawsze mniej lub więcej sporne. W tym kierunku zdarzało się dotąd spotykać raczej z frazesami, z oklepankami, w których „*quot capita, tot sensus*“ — lub żadnego sensu nie było. Nader rzadkie były zapewne także osobno podejmowane próby choćby pobieżnego ujęcia tego problemu w jego cało-

kształcie. Nowa próba więc nie będzie od rzeczy, jeżeli się do niej zabrać z pewną znajomością duszy i życia chłopskiego. Przyznając sobie niejaki udział w tych warunkach, pragnę w tej aktualnej, ze względu na stanowisko chłopa w narodzie nader poważnej chwili, choć cokolwiek przyczynić się do ustalenia poglądu na problem oswiatowy, na kulturę rodzimą naszego ludu oraz na jego udział w publicznem życiu narodu.

Na temat elementarnej oświaty w Polsce w ostatnich dziesiątkach lat wiele pisano, jeszcze więcej się mówi — zdziałano dużo. W Królestwie Polskiem w roku 1897 na umiejących czytać przypadało 41% ogółu ludności — bez dzieci do lat 9-u; w guberniach Krajów Zabranych odsetek ten wahał się od 20% (gub. podolska) do 54% (gub. kowieńska; *Stat. Polski* 271). Od tego czasu nietyle z powodu dbałości rządu rosyjskiego o rozwój szkolnictwa ludowego, ile dzięki ofiarnej działalności oświatowej obywatelstwa, inteligencyi a także światlejszych jednostek z pośród samego ludu procent ten z pewnością wzrósł znacznie [1]).

W zaborze pruskim analfabetyzm jest prawie nieznany [2]); podobnie w Księstwie cieszyńskiem, gdzie w roku 1910 było 95% umiejących czytać — bez dzieci do lat 10-u. W Galicyi w tymże roku na umiejących czytać — bez dzieci do lat 10-u — przypadało 59% ogółu ludności (*Stat. Polski* 271).

W Galicyi, gdzie szkolnictwo ludowe podlega ustawodawstwu Sejmu krajowego we Lwowie, organizacya powszechnego, przymusowego nauczania jest prawie na ukończeniu — działalność Sejmu i Rady szkolnej krajowej na tem polu stanowi chlubną kartę w ich dziejach. W roku szkolnym 1910/11 było tu zorganizowanych publicznych szkół ludowych, czynnych i nieczynnych, razem 5588 — z tego nieczynnych 194. Doliczywszy szkoły ćwiczeń przy c. k. seminaryach nauczycielskich w liczbie 18-tu, z których 12 było polskich, a 6 ruskich, było w roku szkolnym 1910/11 w całej Galicyi ogółem [3]):

---

[1]) Por. także Dr. Eug. Romer, Polska i Polacy, Kraków 1916, s. 31.

[2]) Por. Romer, j. w., s. 31.

[3]) *Podręcznik statystyki Galicyi...* pod redakcyą Dra Tadeusza Pilata, tom IX., część 1. Lwów 1913 s. 71; por. *Stat. Polski* 275.

Szkół ludowych publicznych, czynnych . . . . . . 5412; z tego

z językiem wykładowym:	ilość szkół lud. publ. czynnych:	
polskim	2931	czyli 54·1%;
ruskim	2456	„ 45·4%;
niemieckim	25	„ 0·5%.

Stan organizacyi szkolnictwa ludowego w ostatnich latach przedstawiał się następująco:

Na ogólną liczbę gmin galicyjskich o cyfrze 6242 pozostawało z początkiem roku szkolnego 1910/11 bez szkoły gmin 311. W roku 1911 urządzono 129, w roku 1912 — 71, a w roku 1913 34 nowych szkół, nadto wcielono 42 gminy do zakresu innych szkół. Więc w r. 1913 pozostawało tylko 25 gmin zupełnie szkół pozbawionych, a z tych w dodatku jest 20 gmin takich, „...w których niema 40 dzieci w wieku szkolnym“ [1]). Ogólną organizacyę szkolnictwa ludowego w Galicyi można tedy uważać za ukończoną.

Gdy się nad oświatą ludową w Galicyi zastanowić bliżej, nasuwa się na myśl kilka ogólnych uwag:

Czysty analfabetyzm prawdopogobnie nie jest w Galicyi tak rozpowszechniony, jak podaje statystyka, i jakby się zdawało. Nie jest to zresztą wina statystyki. Chłop bowiem, choć się częstokroć kiedyś nauczył cokolwiek czytać i pisać, w późniejszem życiu, nie korzystając wcale z tej nabytej „sztuki“, zapomina pisania i czytania. A nie widząc praktycznej wartości tej umiejętności, z lekkiem sercem podaje się za analfabetę. Do tego dołącza się okoliczność, że chłop — mając czasem wobec świadków położyć swój podpis — mówi, że się podpisać „nie umie“. Możeby to i szło, ale, ponieważ wymagałoby pewnego wysiłku, więc chłop z pewnej gnuśności woli jako „analfabeta“ położyć krzyżyk — zwłaszcza, że krzyżyk jest znakiem świętym — aniżeli nad podpisem swojego — pospolitego — nazwiska się mozolić. Stąd w życiu spotykamy tylu „analfabetów“, którzy nieraz w istocie nimi nie są.

Następnie wypada tu poruszyć jedną rzecz, która w naszem społeczeństwie stanowi drażliwe *„noli-me-tangere“*. Na temat

---

[1]) *Podręcznik statystyki Galicyi...*, j. w. s. 78.

oświaty ludowej zdarza się często słyszeć sceptyczne zdanie — nawet ludzi inteligentnych i zasłużonych. Są oni skłonni do twierdzenia, że oświata naszemu chłopu i całemu społeczeństwu przynosi więcej zła, niż dobrego, że zatem jest ona temu chłopu niepotrzebna. Ponieważ wielu ludzi z podobnem zdaniem okolicznościowo się nie tai, a jeszcze więcej w istocie tak myśli, przeto należy się tą sprawą zająć bliżej.

Skoro bowiem taki pogląd istnieje, a jest dosyć rozpowszechniony, nie można się z nim załatwić krótko, chrzcząc go mianem „wstecznictwa“ itp., bo przez to się go jeszcze nie usunie. Trzeba tedy przypuścić, że ma on pewne podstawy, i te podstawy należy zwalczyć, względnie z życia wyrugować.

Otóż, kto w ostatnich kilkunastu latach śledził bieg życia publicznego w Galicyi, z przykrością musiał ciągle doświadczać i stwierdzać, że w tem życiu rozpętała się jakaś niezdrowa orgia. Rozagitowanie, uwodzenie ludu jakiemiś nieziszczalnymi majakami, które w krociach tysięcy rozpowszechniano drukiem, raz po razu dosięgało szczytu. Wciągano w wir agitacyi nauczycielstwo ludowe, które z powodu lichego uposażania materyalnego było podatnym dla niej materyałem. I tak niestety, przy pomocy oświaty wytrwale paczono i zatruwano trzeźwy umysł i zdrową duszę chłopa, a temsamem zatruwano atmosferę publicznego życia w kraju.

Nie oświata jednakże, ale nadużywanie oświaty do nieziszczalnych, a częstokroć niegodziwych celów doprowadziło nawet poważnych i zasłużonych ludzi do tego, na szczęście mylnego wniosku, że wszystkiemu winna jest... oświata. Te rzeczy zaś trzeba jak najstaranniej oddzielać. Na oświatę jako taką należy jak największy kłaść nacisk, analfabetyzm ze wszystkich sił tępić. Słowem, hasłem powszechnem powinna być: dobra oświata narodowa!

Przytem nauczyciel ludowy, spełniając wielkie a zaszczytne zadanie wychowawcy społeczeństwa, powinien być nie jego kopciuszkiem, ale posłannikiem, któremu za znojną pracę należy się przyzwoita zapłata i poważanie. Ze swojej strony rzeczą nauczyciela jest dołożyć wszelkich starań, żeby był godnym piastunem swego zawodu, żeby ziarno, które rzuca w młode dusze społeczeństwa, było zdrowe i silne. Wychowawcze wskazówki dobrego nauczyciela, tak jak przykład i wskazania rodziców, dziecko unosi z sobą na całe życie.

W kwestyi oświaty ludowej zachodzi nietylko to jedno nieporozumienie, które powyżej zostało poruszone. Takich pomyłek, które samemu ludowi przynoszą ujmę, a narodowi szkodę, jest więcej.

Po części winę sam lud tutaj ponosi. Patrząc bowiem na oświatę z punktu widzenia przysiółka wiejskiego, a nie widząc praktycznego znaczenia i użyteczności tej oświaty, lud sam niejednokrotnie w kwestyi nauczania własnych dzieci zachowuje się niechętnie, odpornie, lub conajmniej obojętnie. Nie zdaje on sobie sprawy, jaką krzywdę przez to tym dzieciom wyrządza. Jeżeli bowiem w dzisiejszych warunkach conajmniej połowa przyrostu wiejskiej ludności, dorósłszy, zmuszona jest szukać chleba w mieście, w rzemiośle, w górnictwie, przemyśle i w pracy zarobkowej na wychodźstwie, to dla tych ludzi umiejętność czytania i pisania jest rzeczą konieczną, bez której zawsze i wśród swoich, a zwłaszcza wśród obcych będą kopciuszkami, poniewieranym jakimś jakby niższym gatunkiem jestestw ludzkich. Nadewszystko zaś będą skazani zawsze na najpodlejsze i najcięższe roboty i najbardziej wyzyskiwani.

Ta umiejętność czytania i pisania jest bowiem nietylko rzeczą popisową, na pokaz. W dzisiejszych warunkach złożonego systemu gospodarki i wytwórczości, gdzie na każdym kroku trzeba przeczytać jakiś przepis, zrozumieć odebrany na piśmie rozkaz, coś spisać, podpisać i poświadczyć — bez znajomości czytania nawet zwykła posługaczka domowa obejść się nie może, jeżeli jej gospodarz w chwili jej posługi zmuszony jest przebywać poza domem, a ona mimo to ma odbierać i wykonywać jego polecenia. Nawet bowiem w najprostszych rzeczach, których choćby w skromnych warunkach życia codziennego ciągle nadarza się rozmaitość i obfitość, pierwotny sposób porozumiewania się zapomocą „nastawionych“ przez tego gospodarza na wypadek jego nieobecności rzeczowych symboli nie wystarcza...

Toteż trzeba jasno i stanowczo powiedzieć, że w dzisiejszych warunkach życiowych analfabetyzm nie jest już brakiem, lecz u c h y b i e n i e m — nieledwie zbrodnią! [1]).

---

[1]) Z zadowoleniem podnieść należy, że naczelny organ P. S. L. *„Piast“* zapoczątkował żywsze zajęcie się sprawą naszego szkolnictwa ludowego w szerszych warstwach społeczeństwa. Wynikiem rozpisanej w tym celu przez redakcyę

Ostatecznie jeszcze w kraju poniekąd ta nieznajomość czytania i pisania nie jest znowu tak wielkiem złem. Jeżeli się bowiem nad jego wykorzenieniem pracuje, to się je z czasem usunie, i kraj w rezultacie szkody nie poniesie. Co innego jednakże jest poza krajem, wśród obcych. Przy niwelującym systemie wielkiej produkcyi i gospodarstwa światowego, jaki zaczął panować na naszej kuli ziemskiej, umiejętność czytania i pisania stała się międzynarodowem znamieniem równorzędności kulturalnej ludów i narodów.

Analfabetów uważa się z góry za materyał mniej wartościowy, jako członków niższego plemienia, skazanych na ciężkie roboty i wyzysk — lub nawet z progu odprawianych. Wszak wszyscy żywo jeszcze mamy w pamięci fakt, że w Stanach Zjednoczonych, których kraj jeszcze do niedawna dla wszystkich przybyszów gościnnie stał otworem, od kilku lat stosuje się ograniczenia w dopuszczaniu analfabetów! [1]).

Stąd nie trudno sobie wyobrazić, jaki los czeka naszych wychodźców wśród obcych. Ponieważ siłą rzeczy na zarobek, czy na stałe wyjeżdżają biedniejsze żywioły z pośród ludu, można z góry przypuścić, że między nimi jest większy odsetek analfabetów, niż przeciętnie śród ludności kraju. Jako „analfabeci" spotykają się oni u obcych z lekceważeniem i pogardą, które tamci — wobec skłonności natury ludzkiej do uogólniania — pochopnie rozciągają na cały naród polski, obarczając go brzemieniem „nędzy i barbarzyństwa".

---

tego tygodnika ankiety jest szereg artykułów-odpowiedzi, zamieszczonych w wielu numerach tego pisma od stycznia do kwietnia 1916 r. — Odpowiedzi te zawierają pouczające uwagi na temat niedomagań galicyjskiego szkolnictwa ludowego pod względem organizacyjnym, pedagogicznym i społecznym. Ten ostatni polega z jednej strony na tem, że społeczeństwo chłopskie odnosi się do swojej szkoły częstokroć trochę obco — niechętnie — z drugiej strony zaś na tem, że niejeden nauczyciel ludowy nie chce, czy nie umie wytworzyć sobie na swojem stanowisku pewnego i zdrowego gruntu pod nogami.

[1]) Por. *St. P.* 68. — Przedłożenie ustawy przepisującej dla imigrantów do Stanów Zjednoczonych próbę czytania i pisania, jak z wiadomości dziennikarskich pamiętamy, już parokrotnie przez tamtejsze ciała ustawodawcze uchwalane, napotykało na opór Prezydenta, który w tym wypadku korzystał ze swojego prawa *veta*. Ostatecznie jednak — po raz trzeci, zdaje się — tak przez Izbę Reprezentantów, jak i przez Senat przyjęte, mimo *veta* Prezydenta w początkach lutego r. 1917 stało się automatycznie ustawą.

Jakaż to ujma dla tego narodu, jak okropna nieraz krzywda tego biednego ludu! Ile łez tłumionej goryczy musi on połknąć, jak gorzki dla niego musi być ten ciężko śród obcych zapracowany kawałek chleba! Jak często musi się w jego duszy odzywać bolesny wyrzut, że ten kraj rodzimy nie dał mu czegoś, co dla tych obcych stanowi całą miarę wartości człowieka — znajomości czytania i pisania! Chcąc się tedy wyrwać z tego opłakanego stanu, chcąc się również stać „człowiekiem“, usiłuje niejeden taki biedny wychodźca corychlej zatrzeć za sobą ślady, upodabnia się do nowego swojego otoczenia, a więc gorliwie ima się naśladować jego zwyczaje i obyczaje i jaskrawsze — niekoniecznie zawsze cenne — cechy zewnętrzne, uczyć jego abecadła — i dla Polski przepada!...

Tu się nasuwa na myśl jeden moment, który sprawia, że ta dola naszego ludu wychodźczego staje się jeszcze przykrzejszą, a który trzeba silnie podkreślić. Należy bowiem wyraźnie odróżnić oświatę ludu od kultury ludowej, od *folkloru*. Otóż, ukształtowanie nowoczesnych warunków życia, ogromnie zmateryalizowanego, sprawiło, że widzi się tylko oświatę — mechaniczne znawstwo czytania i pisania — to, co z tą materyalną stroną życia może wejść w jakikolwiek praktyczny związek, i według tej „oświaty“ klasyfikuje się ludy i narody — a nie widzi się poza nią całej rodzimej kultury ludowej. Co gorsza, zapanowała za przykładem nadętej pychą i mieniącej się być w posiadaniu wszelkich dóbr, jakie geniusz ludzki osiągnąć zdoła, zagranicy moda wyszydzania przejawów tej rodzimej kultury ludowej, lekceważenia ich jako przeżytków „barbarzyństwa“. Jeżeli tak dalej pójdzie, to gotów nam z czasem zwietrzeć cały skarb kultury ludowej!

A ta kultura w dziedzinie obyczajów i zwyczajów, języka, pieśni i powieści, nagromadzonej wiekami mądrości i zaradności życiowej itd. — to ogrom cały! Niedarmo rozwinęło się w ciągu XIX. wieku ludoznawstwo na szeroką skalę — jakby oznaka, że umiędzynaradawiający się świat zmierza do zagłady kultury ludowej, więc trzeba ją przynajmniej w historyi uwiecznić!... Potworzyły się na całym świecie towarzystwa ludoznawcze, powstały pisma, zajmujące się ludem i jego rzeczami, całe biblioteki, katedry uniwersyteckie — powstają raźno olbrzymie muzea ludoznawcze itd.

I w Polsce panuje na tem polu ruch dość ożywiony. Ku niemałemu zadowoleniu, choć z pewnem zakłopotaniem musimy wyznać, że olbrzymie zasoby kulturalne, jakie się przechowały wśród ludu naszego, dostrzegli przedewszystkiem ludzie obcy pochodzeniem, ale gorącego serca, którzy z całem umiłowaniem przedmiotu wszystkie siły swojego życia poświęcili, żeby te skarby wydobyć na światło dzienne i od grożącej zagłady uchronić [1]). Jest to w pierwszym rzędzie Szwed pochodzeniem, Samuel Bogumił Linde, ze swoim ogromnym *Słownikiem* języka polskiego (6 tomów, Warszawa 1806—1814); Oskar Kolberg (1814—1890), którego „*Lud* — jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabobony, pieśni, muzyka i tańce“ obejmuje w kilkudziesięciu tomach całą Mało- i Wielkopolskę, Mazowsze, Pokucie, Chełmszczyznę i Przemyskie; Zygmunt Gloger (*1845 na Podlasiu); Samuel Adalberg (*1868 w Warszawie) ze swoją wielką „*Księgą przysłów*, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych“ [2]) i wielu innych.

Krakowska Akademia Umiejętności wydawała od r. 1877 „*Zbiór wiadomości* do antropologii krajowej“, zamieniony w r. 1896 na „*Materyały* antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne“. Wychodziły, względnie wychodzą stałe czasopisma ludoznawcze: warszawska „*Wisła*“ (od r. 1877), „*Lud*“ (od r. 1895 we Lwowie, później w Krakowie) [3]), od kilku lat „*Gryf*“ kaszubski itd. Są uczeni języko- i gwaroznawcy, którym badanie narzeczy ludowych pozwala na daleko sięgające wnioski odnośnie do rozsiedlenia plemion lechicko-polskich w przeszłości, a żywa mowa ludu pozwala rozwiązać niejedną zagadkę historyczną, wykryć i ustalić niejedno zjawisko historyczno-obyczajowe.

Właściwym językiem żywym jest język ludu, na którym się język literacki opiera i którego zdrowymi sokami w swoim rozwoju ciągle się zasila. Jakże więc lekkomyślnym i niedorzecznym jest zwyczaj wielu, nawet ukształconych ludzi przedrzeźniania i wyszydzania mowy ludowej! A nietylko na polu językowem, ale

---

[1]) Ludoznawcy stwierdzają ku swojemu utrapieniu, że i nasz piękny folklor z dniem każdym się kurczy — rzeczy ludowe u samego ludu niemal w oczach popadają w zapomnienie. Jest to niewątpliwie głównie następstwem gwałtownej przemiany stosunków gospodarczych.

[2]) Zob. W. encykl. pow. il. t. 1/2 s. 127; t. 37/8 s. 5—7 i i.

[3]) W. encykl. pow. il. t. 19/20 s. 669.

i w innych dziedzinach kulturalno-twórcze żywioły narodu czerpały i czerpią pełną garścią z bogatej skarbnicy kultury ludowej, żeby kulturę narodu odrodzić i wzbogacić. Słowem, kultura ludu w walnej mierze jest życiodajnem podłożem kultury narodowej!

Wogóle, jeżeliby chcieć w krótkich a jędrnych słowach oddać ducha ludowej kultury polskiej, trzebaby na to epickiej wyobraźni Mickiewicza. Nieudolnym zaś stylem można się wyrazić, że bije z niej szeroki i świeży powiew życiodajnej niwy polskiej, wonnej i umajonej łąki, podszytego barwnem kwieciem i rozweselonego gwarem śpiewającego ptactwa gaju, poszum tchnącego żywicznem powietrzem, poważnego lasu, niestrudzony bełkot szemrzącego strumyka, poszept pogodnego i pociągającego ku sobie przeczuciem głębokich tajemnic jeziora — a na tle tego wszystkiego związany tysiącznemi nićmi z tą naturą, zarazem niby jej twór i pan, człowiek wiejski w pracy i rozrywce, w tęsknocie i weselu, we wszystkich okolicznościach życiowych... [1]).

Taka kultura musi się stać dla obcych, obdarzonych pewną wrażliwością na piękno, rozmaitość i obfitość tętniących w niej pierwiastków życiowych, żywiołową przynętą: i zaprawdę tkwi w niej nieprzeparta siła asymilacyjna. Podobny, piękny i obfity zasób kultury ludowej wykazują także inne ludy słowiańskie, i one nie mniejszą od polskiego obdarzone są siłą asymilacyjną, np. Rusini [2]), których *folklor* wionie coprawda pewnym jednostronnym i jednostajnym sentymentalizmem, ale właśnie ta posępna tęsknota oczarowuje wielu swoim urokiem. Polski *folklor* nie wykazuje może tego pogłębienia, tego przebijającego się we wszystkiem jednego zasadniczego tonu, ale niewątpliwie jest wszechstronniejszy i pełniejszy od innych słowiańskich.

Do *folkloru* w pewnym względzie — czego przy tej sposobności nie można pominąć — należą także przejawy polskiej kultury szlacheckiej minionych stuleci. Na temat *folkloru*

---

[1]) W poglądzie na duchowe życie ludu polskiego należałoby jeszcze uwzględnić ogromną dziedzinę jego życia religijnego, gdzie twórczość jego jest bogata i nawskróś swoista.

[2]) Jeden z najwybitniejszych naszych znawców dziejów i rzeczy ludowych ruskich, profesor Dr. Stanisław Smolka, w swojem najnowszem dziele p. t. „*Die reussische Welt,* historisch-politische Studien...“, Wien 1916, rzucił okolicznościowo garść pięknych i głębokich uwag o ludowej kulturze ruskiej, którą wysoko ceni; por. tamże *passim,* szczególnie s. 335—336.

tego licznego społeczeństwa szlacheckiego możnaby całe dzieła pisać. Tutaj w zaznaczonym związku wypada bodaj tej sprawy dotknąć. Bujny indywidualizm rycerstwa polskiego, którego nie krępowały zbytnio więzy organizacyi państwowej, mógł się na owej szerokiej, obfitującej w wydarzenia i niespodzianki arenie, jaką była Rzeczpospolita polska, wyszumieć do syta, ujawnić w całej pełni. I tak się też stało: Polska szlachta wytworzyła niezmiernie urozmaiconą, obfitą a rodzimą kulturę panującego społeczeństwa. Jedynie może przewyższa ją odrębnością, wytwornością, wielkością i stylem swoim rozkwitła na tle Wojen krzyżowych kultura średniowiecznego rycerstwa: francuskiego, hiszpańskiego itd., która szkołą obeszła ongiś prawie całą Europę...

Polska kultura narodowa ubiegłych wieków, t. j. szlachecka, jeszcze i dziś nadaje ton naszemu życiu kulturalnemu — stoimy pod urokiem przeszłości, przetrawiamy i kształtujemy dalej jej zasoby. Zmiana politycznych i społeczno-ekonomicznych warunków życia, połączona z uwłaszczeniem i równouprawnieniem ludu, zaczyna się jednakże powoli i w kulturalnem życiu narodu przejawiać. Chłop, który pod piórem naszych dawniejszych, a także jeszcze i nowszych pisarzy był tylko okazem literackim, przystąpił do współdziałania z innymi — sam wystąpił na szeroką widownię życia narodowego, któremu ze skarbnicy swojej rodzimej kultury, ze swoich bogatych doświadczeń życiowych niejedno dać może.

Wracamy do punktu wyjścia. Można sobie tuszyć, że kilka pobieżnych uwag powyższych wystarczy, aby sobie uprzytomnić różnicę między ukształceniem-oświatą, a kulturą ludu. Rozróżniwszy zaś te rzeczy i zrozumiawszy dobrze, łatwo sobie wyobrazić, jaka mimowolna a ogromna krzywda dzieje się naszemu analfabecie na wychodźstwie, który — wyniósłszy z łanu ojczystego tak bogatą kulturę moralną i umysłową — śród obcych jest niczem, ponieważ... nie umie czytać i pisać!

Nie można tu także pominąć i „swoich". Otóż, o ile jeszcze ten jednostronny pogląd na chłopa polskiego u obcych da się w pewnej mierze usprawiedliwić, to u swoich nie jest on żadną miarą na miejscu, i należy go prostować. W istocie bowiem w rzeczach kulturalnych i ogólno-oświatowych stosunek warstw t. zw. oświeconych do chłopa ciągle jeszcze jest chwiejny: stąpa się tu

po omacku, powstaje ogólne nieporozumienie, i częstokroć szlachetne zamierzenia i wysiłki jednostek obracają się w niwecz. Stąd zaś rodzi się poczucie zawodu, zniechęcenie, i praca nad ludem, nad ukształtowaniem i umocnieniem stosunku ludu do innych warstw narodu doznaje przez to przerwy. Dzieje się to zaś w niemałej mierze dlatego, że owi oświeciciele i działacze nie znają kultury ludowej, jego poglądów i potrzeb i nie umieją ich ocenić, natomiast przystępują do tego ludu jak do dzieci, jak do *„tabula rasa“*, na której oni dopiero mają coś wypisać...

Gdy się z kolei zwrócić do kwestyi udziału ludu naszego w kulturalnem, a zwłaszcza politycznem życiu narodu, uderzy nas na wstępie jedno dziwne i ciekawe zjawisko: Jak w rzeczach kulturalnych i oświatowych uważa się lud za coś pierwotnego, za surową glebę, w którą dopiero należy rzucić posiew kultury, tak w rzeczach politycznych panuje skłonność do przesady w przeciwnym kierunku. Uważa, lub — w pewnych okolicznościach... — traktuje się lud jako pod każdym względem dojrzały i wszechwładny. Jest to zadziwiające stawianie rzeczy do góry nogami! Więc ten lud, który przez wieki w pocie czoła uprawiał swój ojczysty zagon i w ścisłem zetknięciu z matką-ziemią wytwarzał swoją bogatą i urozmaiconą kulturę ludową — na polu właśnie kulturalnem ma być czemś kalekiem, upośledzonem — natomiast w zawiłej i niepewnej dziedzinie życia politycznego, do którego się dopiero od kilku dziesiątków lat powoli zaprawia, ma on być wytrawnym mistrzem?! Złudaż-to, czy niesumienność? Być może, że i jedno i drugie.

Ta fatalna omyłka, to nieporozumienie w kwestyi stosunku ludu do spraw politycznych narodu, ma w dziejach naszych porozbiorowych niejedną żałosną kartę. Ciągnie się ono przez te dzieje, szczególnie galicyjskie, prawie od chwili upadku powstania Listopadowego. Wtedy to nasi demokraci na emigracyi, porwani prądem odrodzenia ludów europejskich, przeciwstawiających się wszędzie despotycznym i reakcyjnym wówczas rządom, zwrócili główną uwagę na szerokie masy ludu polskiego, od którego się spodziewali wyjarzmienia i odrodzenia ojczyzny. Wogóle upatrywali w tym ludzie symbol wyzwolenia i odrodzenia narodowego. Wiemy, jaki ostateczny zawód te nadzieje spotkał i do jakiego nie-

szczęścia pewne usiłowania porwania tego ludu do walki o polityczne prawa narodu doprowadziły — do katastrofy 1846-go roku, w której zresztą... „inni... byli... czynni"...

Wtedy Zygmunt Krasiński z wyżyn poezyi narodowej ogłosił hasło: „...Z szlachtą polską polski lud!" Zdaje się, że w tym wypadku Krasiński wyobrażał sobie stosunek szlachty, czy wogóle wyższych warstw narodu do ludu jako rodzaj trwałego braterskiego sojuszu, konfederacyi. Jest to zapewne pogląd mechaniczny. Przedewszystkiem Krasiński, któremu przytomne było wyobrażenie wyrobionej historycznie, zindywidualizowanej, świadomej siebie jako ew. czynna całość szlachty polskiej, takie samo wyobrażenie przenosił i na lud polski, i to w rzeczach narodowo-politycznych, w których ten lud żadnej jeszcze nie zdołał nabrać fizyognomii. A o kojarzeniu i trwałem ustosunkowaniu na jednolitej podstawie rzeczy różnogatunkowych przecież mowy być nie może!

Przejawy politycznego życia ludu w konstytucyjnej erze austryackiej naogół są dobrze znane, bo współczesne. Nie zajmując się tedy nimi bliżej, zadamy sobie pytanie, jak sobie wogóle ten udział ludu w politycznem i kulturalnem życiu narodu należy wyobrażać. Wszyscy są zgodni w poglądzie, że lud wniesie, czy też powinien wnieść w to życie nowe wartości. Jednakże jednych nadzieja jest za daleko idąca, drugich mylna. Jedni po dawnemu spodziewają się czegoś zupełnie nadzwyczajnego i oczekują, że „lud" sprawi jakiś wielki cud, że za jednym zamachem, jednym potężnym wysiłkiem dokona wielkiego wyzwoleńczego czynu. Ci idą za daleko — i lud hipostazują. Drudzy znowu mniemają, że lud w nasze życie polityczne i kulturalne wniesie coś zupełnie nowego, niepodobnego do naszego dotychczasowego dorobku kulturalnego i politycznego.

Jest to złudzenie. W założeniu takiego mniemania tkwią bowiem — uświadomione, czy nie — dwie wady: popierwsze, przypuszczenie, że chłop jest innego pochodzenia, niż warstwy historyczne narodu — rodzimego, i że w naturze tego chłopa tkwią inne, korzystniejsze dla naszego bytu i przyszłości pierwiastki, niż w tamtych. To przypuszczenie jest mylne. Choćbyśmy bowiem w kwestyi powstania naszego społeczeństwa nawet w szerokim zakresie przyjęli teoryę najazdu, to faktem jest oczywistym, że z rasy tych najeźdców po tylu wiekach pozostało bardzo mało.

Z drugiej strony badania historyczne, poparte spostrzeżeniami antropo-, charakterologicznemi itp., stwierdzają coraz wyraziściej, że te szerokie warstwy szlachty: niższej, średniej, poniekąd nawet i wyższej, które jeszcze dzisiaj kwitną, pochodzą przeważnie od przodków ludowych, czy mieszczańskich, którzy wyrośli na rodzimym korzeniu i ciągle gęsto, dzięki swojej dzielności i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, w stan szlachecki wsiąkali. Można tedy śmiało twierdzić, że z okładem 50% dzisiejszej szlachty, względnie ludzi o nazwiskach szlacheckich — to krew z krwi i kość z kości ludu polskiego.

Do tego dołącza się odwrotny fakt, że i w warstwie ludowej przymieszka żywiołu szlacheckiego jest niemała. Poszło to stąd, że przemożne życie już w wieku XVI. i XVII. spychało gęsto zubożałe żywioły szlacheckie w szeregi drobnomieszczaństwa i ludu, gdzie znajdywały lepsze warunki bytu, niż w dotychczasowym swoim stanie [1]). „Szlachcic-gołota“ nie był może tak rozpowszechnionym typem zubożałego szlachcica, jakby się zdawać mogło. Znaczna, bodaj przeważna część tych podupadłych, w swojej warstwie prawie wydziedziczonych żywiołów wolała jąć się łokcia i przysiąść do warsztatu małomiejskiego, albo też chwycić lemiesza chłopskiego, niż ze swoim klejnotem śród „braci-szlachty“ się poniewierać, obrywać szturchańce i guzy i... głodem przymierać. Już wówczas bowiem śród chłopów i małomieszczan zaczynają się zagęszczać dobre nazwiska szlacheckie.

Wreszcie, jeżeli szlachta ma w sobie przymieszkę krwi obcej, to i lud od tego nie jest wolny, boć wchłaniał on obficie obce pierwiastki w siebie. A gdy się przytem zważy, że lud polski w kolei wieków dzielił losy doli i niedoli ze szlachtą polską, to zaiste ostatecznie dojdziemy do wniosku, że lud ten ani naturą, ani swoją treścią duchową od t. zw. warstw historycznych zasadniczo się nie różni.

Powtóre, w powyższym poglądzie tkwi to założenie, że warstwy wyższe narodu są zepsute, przeżyte, natomiast jedynie zdrowym i zdolnym do podźwignięcia gmachu Polski jest lud polski. Jest w tem dużo przesady. Rozrodzona szlachta polska w XVIII. wieku w przeważnej części była biedna, ciemna, trybem życia zu-

[1]) Dla zubożałego naszego rycerstwa włodyczego skutkiem zajęcia Rusi przez Kazimierza Wielkiego pono już w XIV. wieku szeroko otwarła się brama na wschód.

pełnie do chłopa upodobniona — a stopą tego życia nieraz niżej tego chłopa stojąca. Przychodziło jej raczej nieraz temu chłopu zazdrościć. Jeżeli więc użyć terminu „kultury“ w znaczeniu zużywającego siły fizyczne i moralne wyrafinowania, to wówczas cztery piąte szlachty polskiej były — kulturą nietknięte... A jeżeli to znowu jest oznaką zdrowia — były tak samo zdrowe, jak lud polski. Nie wyczerpawszy się przeto w twórczości politycznej i kulturalnej życia narodowego, pozostały do tej twórczości tak samo zdolne, jak lud polski.

O ile zaś mimo to obstawać będziemy przy tem, że lud polski wniesie do tego życia pierwiastki nowe, to ta nowość przedewszystkiem może polegać na tem, że kultura ludowa ma za sobą większą ciągłość i większą pełnię wszelakich przejawów życiowych, niż kultura warstw innych; następnie na tem, że lud jako żyjący pośród natury w ciągłej styczności z jej bogatem i urozmaiconem życiem może bardziej od innych jest czuły na wszelkie drgnienia tego życia, a zatem także potrzeby życiowe społeczeństwa i narodu lepiej odczuć i trzeźwiej, oraz wszechstronniej ująć potrafi.

Ostatecznie więc udział ludu w politycznem i kulturalnem życiu narodu może być tylko współdziałaniem, a nie oryginalną twórczością, którąby się zaczynała *ab ovo.* W tym wypadku bowiem tego, co już mamy i cośmy przejęli w spadku dziejowym, nie mamy zamiaru poświęcać, ani też, choćbyśmy i chcieli — wyzbyć się nie możemy. Dalsze nasze życie na tem się oprzeć musi, a lud przez współudział — zwłaszcza w osobach światlejszych i dzielniejszych swoich jednostek — może tu wnosić pewne swoiste pierwiastki kulturalne i moralne, dotąd nie wyzyskane [1]).

---

[1]) Miło tu nadmienić, że rzucone w powyższem uwagi — nakreślone w listopadzie r. 1916, bez uciekania się do jakichkolwiek środków pomocniczych — okazują się zgodnemi z tem, co w czasie obecnej wojny poważna publicystyka polska okolicznościowo niejednokrotnie stwierdza. I tak np. w pamięci szerszego koła czytającej publiczności polskiej chlubnie zapisany pisarz, p. Eugeniusz Starczewski, w rozprawce p. t. *„Zasady państwowości polskiej“* między innemi twierdzi również, że: 1-o między szlachtą a ludem polskim niema właściwie różnicy pochodzenia — że ta szlachta, zwłaszcza na polskim obszarze plemiennym, pochodzi z pnia naszego ludu; 2-o że wpływ ludu i mieszczaństwa na urobienie naszego życia politycznego i kulturalnego zdołał się dotąd tylko skromnie zaznaczyć, tak że „...polska dusza narodowa... po dawnemu posiada cechy

W ten sposób to nasze życie narodowe może powoli dochodzić do nowej syntezy: pewnego nowego, pełniejszego całokształtu poglądów i równomiernie odczuwanych potrzeb materyalnych i duchowych — pewnego obejmującego cały naród porządku kulturalno-moralnego. Koniecznem jest jednakże przytem, żeby do tej syntezy nietylko lud, ale wszystkie inne warstwy wnosiły najlepsze swoje wartości historyczno-kulturalne i moralne. W tym celu muszą one same te wartości dobrze znać, cenić i szanować; muszą — przystępując do wielkiej współpracy — już jako takie być czemś, o obfitej i cennej treści, bo z próżnego nie naleje! Słowem, powinne być sobą! W ten sposób naród w swoich częściach będzie miał kształty i treść uchwytną, na których podstawie oprze się silna i harmonijna jego nadbudowa!

Błędnem więc jest i potępienia godnem — skoro przedewszystkiem mowa o ludzie — dość częste jeszcze zjawisko, że galicyjski syn chłopski, wszedłszy w stan inteligencyi, za pierwszy swój obowiązek uważa... zatarcie za sobą śladów. Jest on przekonany, że w ten sposób spełnia rzecz dobrą — jakiś nieuchronny wymagalnik życia narodowego, że swojemu narodowemu obowiązkowi czyni zadość. Starannie tedy unika ujawniania wszystkiego, co z domu wyniósł, i stara się we wszystkiem do nowego otoczenia upodobnić, co mu się w cechach zewnętrznych często udaje — ale prawie tylko zewnętrznych. Robi się więc „z chłopa — król“, a to rzecz krotofilna; raczej w krotochwili zabawna, w życiu jałowa. Koniec końców taki człowiek niepotrzebnie tylko sobie gwałt zadaje, a życie narodowe, w którem właśnie wszystkie wartości mają się mieścić, niejednokrotnie o pewną wartość zubaża. Nie trzeba przytem być chłopomanem, tylko mieć na oku ten

---

wytworzone przedewszystkiem w wiekach XVI., XVII. i XVIII.“; 3-o że typ psychiczny naszego ludu wiejskiego jest ściśle spokrewniony z naszym typem szlacheckim; że zatem przewidywana twórczość ludu w naszem życiu społecznem, kulturalnem i politycznem może ujawnić podobne zalety i wady, co twórczość szlachty w czasach przedrozbiorowych. Z tym momentem, jak autor słusznie podnosi, budowniczowie nowopowstającej Polski powinni się poważnie liczyć: patrz szereg artykułów, przedrukowanych za *„Dziennikiem Kijowskim“* przez krakowską *„Nową Reformę“* z końcem lutego i w początkach marca, zwłaszcza artykuł z dnia 1. marca 1917 r.

wzgląd, że chłop w swojej treści kulturalnej i moralnej jest tak samo wartościową jednostką narodu jak i inni.

Przesada w tym kierunku, chłopomaństwo, a zwłaszcza uprawiane pod pokrowcem chłopochwalstwa nieuczciwe wyzyskiwanie politycznych uprawnień chłopa stało się od kilkudziesięciu lat również plagą publicznego życia w Galicyi. Ambitni i nie przebierający w środkach wodzireje grali na strunie politycznego „wszechwładztwa“ i „wszechrozumu“ chłopa, podniecali jego niższe popędy i budzili fałszywe ambicye — najczęściej dla swoich samolubnych celów. Na szczęście spustoszenie, jakie sprawili w duszach chłopskich, jest niewielkie. Dotknęło ono tylko powierzchni a pozostał rdzeń zdrowy. Chłop naogół zachował swój trzeźwy rozsądek i poczucie swojej możności: wie on dobrze, że właściwem polem jego działania publicznego jest gmina, powiat: że w sejmie krajowym, który gorliwie o jego dobru radzi, jest on potrzebny i może być pożyteczny; że natomiast szersza i odległa arena parlamentarna przerasta jeszcze jego siły, i do tej garnie się więcej z przypadku, niż z przekonania.

Na dokończenie słówko w palącej kwestyi: Jest to kwestya stosunku naszego chłopa do Polski, która się z rozwojem obecnych wielkich wypadków na światło dzienne wynurza. Dostrzegają tu niektórzy śród ludu pewne rozpowszechnione oznaki obojętności, a nawet niechęci, i martwią się tem niemało.

Istotnie — jest w tem coś... Jeżeli się zastanowić nad kwestyą nawiązania państwowej Polski z przeszłości i — da Bóg — niepodległej w niedalekiej już przyszłości, to czuje się, iż brak tu jakiegoś wewnętrznego ogniwa, jakiegoś wiązadła — tego, któreby lud nierozerwalnie spajało z resztą narodu w jego aspiracyach politycznych. To wiązadło zaś mogłoby było polegać tylko na fakcie uwłaszczenia chłopa z woli i za sprawą historycznych warstw narodu. Niestety, to nadanie prawa własności ziemskiej zyskał chłop polski z ręki obcych, i ten fakt wrył się głęboko w jego świadomości — oddziela on go poniekąd od swoich. Wprawdzie ci swoi mają za sobą chwalebne usiłowania polepszenia doli tego chłopa, przeprowadzenia reformy agrarnej — począwszy od Konstytucyi 3. Maja — ale ostatecznie tej reformy oni nie uskutecznili.

Świadomości potrzeby rozwiązania sprawy włościańskiej i dobrej woli potemu, przynajmniej śród światlejszego ogółu szlachty nie brakło. Dowodem są obrady Sejmu warszawskiego z r. 1831, kiedy Królestwo na okres kilkumiesięczny z własnej woli stało się państwem niezawisłem. Znaczną część tych obrad zajęło roztrząsanie kwestyi włościańskiej, którą zamierzano rozwiązać w drodze ustawodawczej. Z powodu nieszczęśliwego obrotu powstania i połączonego z tem upadku Sejmu i Rządu Narodowego sprawa ta, niestety, wówczas również upadła.

Ze stanowiska dziejów chłopa w Polsce należy tedy lojalnie stwierdzić, że wzięcie Warszawy w dniu 8. września 1831 r. przez wojska feldmarszałka Paskiewicza to nietylko chwila upadku naszego powstania narodowego, ale to zarazem chwila unicestwienia społeczno-ekonomicznych wyzwolin chłopa polskiego, chwila pogrzebania na przeciąg całego pokolenia ludzkiego sprawy polskiej reformy społeczno-agrarnej.

W pewnej mierze usprawiedliwia tedy szlachtę polską ta okoliczność, że taki wielki i przewrotowy akt, jakim było uwłaszczenie, lub choćby tylko ogólne oczynszowanie włościan, możliwy jest tylko jako akt państwowy i jako taki także w innych krajach Europy rządy go swojej szlachcie narzuciły. Otóż, jako aktu państwowego, w którymby samo współdziałało — wyjąwszy może jeszcze czasy Królestwa Kongresowego — polskie ziemiaństwo dokonać go nie mogło, bo samo własnego rządu było pozbawione. Narzucony zaś ostatecznie przez obce rządy przyjęło poprawnie. Są to jednak okoliczności dla historyka wystarczające — dla chłopa nie, bo chłopu przemawiają do przekonania tylko konkretne fakta, a nie okoliczności, które fakta warunkują.

Mimo to wydaje się pewnem, że zasadniczy pesymizm na punkcie stosunku chłopa naszego do państwowości polskiej wogóle jest nie na miejscu. Chłop dobrze wie, że on jest główną podporą państwa, w którem żyje — które i w czasach pokojowych, a zwłaszcza w czasie potrzeby swoją dziesięcinę obficie z niego ściąga. Uważa on to zresztą za rzecz zupełnie naturalną. Chłop bowiem jest wogóle silnie państwowo usposobiony. Domaga on się od tego państwa nie podarków — *panem et circenses,* jak rozpróżniaczony i zdemoralizowany motłoch rzymski — chłop niczego nie chce za darmo, ale wymaga on, żeby to państwo zapewniło mu bezpieczeństwo,

warunki bytu i rozwoju, zarobku i dorobku, wogóle korzystne warunki pokojowej pracy — a wtedy ten chłop w zamian temu państwu ochoczo oddaje wszystko to, czego to państwo potrzebuje i słusznie od niego żądać może.

Musi on jednakże tego państwa jako swojej ochrony konkretnie doświadczyć. Jeżeli tedy chodzi o Polskę, trudno na podstawie nieokreślonych nastrojów tego chłopa wyrokować, jaki będzie jego do niej stosunek. To bowiem jest teorya, co więcej — jakiś opaczny tok myślenia. Mamy do tego chłopa roszczenie, żeby on już dzisiaj okazywał poprawne zachowanie względem czegoś, co jeszcze nie istnieje, i czego my sami jeszcze konkretnie nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić...

Tutaj tylko jedno stanowić może: Jeżeli chłop zazna tej Polski jako państwa silnego, praworządnego i dla siebie sprawiedliwego, natenczas stanie się jego niewzruszoną podstawą i najgorliwszą podporą. Oceni on bowiem należycie, że byt takiego państwa — to warunki jego własnego szczęścia!

Dr. Franciszek Duda.

Stosunki narodowościowe w Wielkopolsce w chwili zaboru i początkach rządów pruskich.

Departament poznański.

Nabytki Fryderyka II. przy pierwszym podziale Rzeczypospolitej przesądzały w silnym stopniu o dalszym losie państwa polskiego, zwłaszcza o losach nietylko Gdańska i Torunia, lecz także tej części Wielkopolski, która jakby wydłużoną zatoką wrzynała się w dzierżawy króla pruskiego, wciśnięta między Sląsk a kraj nadnotecki. Pośpieszna, nawet gorączkowa akcya germanizacyjna na Śląsku i w „powiecie nad Notecią" już przy śmierci Fryderyka II. wykazywała rezultaty, tworzące podstawę dla nowych planów zaborczych i asymilacyjnych.

Plany te, zachwiane przez groźbę przymierza rosyjsko-polskiego, które Rzeczypospolitej proponowała Rosya, będąca w wojnie z Turcyą, ocalone zostały i do pomyślnego doprowadzone końca przez dyplomacyę następcy Fryderyka II. Owocem jej był, jak wiadomo, traktat odporny prusko-polski, odrzucenie przez Rzeczpospolitą gwarancyi rosyjskiej i proponowanego przymierza, a w następstwie wiekopomne uchwały sejmu czteroletniego, wojna z Rosyą i wkroczenie do Wielkopolski wojsk pruskich. Towarzyszyła im deklaracya Fryderyka Wilhelma II. z zapewnieniami przyjaźni dla narodu polskiego i obietnicą czynnych takowej dowodów [1]).

---

[1]) *„Deren (der polnischen Nation) Wohlfahrt Ihm (dem König) nicht gleichgültig sein kann und der er thätige Beweise seiner Zuneigung und seines Wohlwollens zu geben wünscht". Declaration Sr. Majestät des Königs von Preussen, Berlin 1793, Januar 6. (Vossische Zeitung 22. Januar 1793). — „Das Jahr 1793", Urkunden und Aktenstücke zur Geschichte der Organisation Südpreussens von Rodgero Prümers. Posen 1895.*

Urządzenie kraju, zabranego przy drugim podziale Rzeczypospolitej, a nazwanego Prusami południowemi, poruczone zostało ministrowi v. Voss; wedle własnego jego świadectwa miał on nakaz od króla, by nowonabyte ziemie urządzić na modłę dawnych pruskich prowincyi (*„diese Provinz auf den Fuss der alten preussischen Provinzien zu setzen“*) [1]). Wprowadzoną być zatem miała jedność praw, obyczajów, zwyczajów i, o ile się da, także języka (*„Einheit der Gesetze, Sitten, Gebräuche, und ist es dahin zu bringen, auch der Sprache“*). Gotowe wzory znalazł Voss w działalności Brenckenhoffa i Domhardta w „powiecie nad Notecią“ i Prusiech Zachodnich. Zastosował je bez straty chwili, a gorliwość swą posunął tak dalece, iż liczne a drobiazgowe rozporządzenia rządowe, przeznaczone dla ludności, wydawane były tylko w niemieckim języku, czego niewłaściwość — ze względów praktycznych — podniesioną nawet była z niemieckiej strony. Powstanie w 1794 r. usunęło Vossa chwilowo z widowni, ale system pozostał — z małoznaczącemi jedynie zmianami — i na stosunki narodowościowe w zachodniej zwłaszcza części „Prus południowych“, nazwanej „departamentem poznańskim“, podobne wywarł skutki, jak polityka Fryderyka II. w szczególnie przezeń „umiłowanym“ kraju nadnoteckim [2]).

Departament poznański, w granicach wyznaczonych po trzecim podziale Rzeczypospolitej, wynosił według Holsche'go $408^1/_2$ mil kwadr.; złożyły się nań województwa poznańskie i gnieźnieńskie (okrojone już przy pierwszym podziale), część kaliskiego i województw kujawskich (inowrocławskiego i brzesko-kujawskiego). Odpowiadał ówczesny departament poznański dzisiejszej rejencyi poznańskiej bez powiatów południowo-wschodnich: kępińskiego ostrzeszowskiego, odolanowskiego, ostrowskiego i pleszewskiego, natomiast z częścią rejencyi bydgoskiej, więc z powiatami gnieźnieńskim, witkowskim, wągrowieckim (prawie całym), większą częścią żnińskiego i mniejszą mogilnickiego; nadto północno-wschodnią część departamentu — około 70 mil kw. — stanowiły ziemie, które od 1815 r. należą do Królestwa Polskiego (ówczesne powiaty: brzeski, kowalski, radziejowski, znaczna większość pyzdr-

---

[1]) *Denkschrift des Ministers von Voss. 1796 Mai 22. Geh. St. Arch. Berlin. Prümers „Das Jahr 1793“.*

[2]) A. Warschauer nazywa powiat nad Notecią *„Das Lieblingskind seines* (Fryderyka II.) *Alters“* (*„Die Epochen der Posener Landesgeschichte“, Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen XIX*).

skiego i cząstka powidzkiego). Według tabel Moszyńskiego z 1790 roku [1]), wypadałoby na tym obszarze ludności około 490.000, obliczenie to jednak nie jest ścisłem, gdyż w tabelach cyfry podane są całemi województwami i ziemiami; sądzimy, że ponad 500.000 ludności w 1790 r. przyjąć należy [2]), a w 1793 r. conajmniej 520 do 530 tysięcy [3]). Rząd pruski próbował zaraz spisów w nabytym kraju, ale akcya ta nie wydała w początkach należytych rezultatów. Pierwsze kompletne, pewniejsze i szczegółowsze dane pochodzą ze spisu z 1800 r.; znajdujemy je w dziele Holschego: *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuost-Preussen"* (Tom II. Berlin 1804). Ludność ogólna wynosiła w departamencie poznańskim w 1800 roku 598.167 dusz [4]), z czego było w miastach 175.406 (wraz z wojskiem i duchowieństwem klasztornem; sama ludność cywilna miejska liczyła 164.441 dusz), na wsi 422.761. Luteran było pośród ogólnej ludności (*„sämmtliche Einwohner"*, a więc wraz z wojskiem) 115.822 dusz, reformowanych 2378, żydów 36.833 (w innem miejscu podaje Holsche żydów 36.579, z czego w miastach 34.811, na wsi 1768); są to pierwsze ogólne dane wyznaniowe, jakie dla odnośnej części kraju posiadamy, ale pochodzą nie z 1800, lecz z 1801 roku [5]). Przy-

[1]) Dziennik rządowo-ekonomiczno-handlowy Roku piątego Nr. V. Maj 1790. Tabele przy Głosie JWMoszyńskiego.

[2]) Przy obliczaniu ludności tej części departamentu poznańskiego, na którą złożyły się części województw: kaliskiego, brzesko-kujawskiego i inowrocławskiego (razem 116 mil kw.), kierowaliśmy się gęstością zaludnienia, przypadającą w tych województwach na milę kw. według tabel Moszyńskiego. Ale zaludnienie w województwach zapewne równomiernem nie było; zwłaszcza w zachodniej części kaliskiego, włączonej do departamentu poznańskiego, przyjąć należy ludność gęstszą, aniżeli przeciętnie w całem województwie.

[3]) Według danych, zawartych w *„Denkschrift des Ministers Friedrich Wilhelm von der Schulenburg-Kehnert über Südpreussen"* roczny przyrost naturalny w departamencie poznańskim wynosić miał 12‰. Ówczesny przyrost naturalny w sąsiednich krajach niemieckich wynosił 10‰.

[4]) W *„Denkschrift des Ministers Friedrich Wilhelm von der Schulenburg — Kehnert über Südpreussen"* ludność departamentu poznańskiego podana jest na 598.309 dusz, ale różnica z Holschem, bardzo zresztą nieznaczna, dotyczy ludności wojskowej. Beheim-Schwarzbach w swej pracy: *„Aus südpreussischer Zeit"* przytacza kilka sprzecznych z sobą cyfr, uznając sam, że są *„nicht zuverlässig"*; odnoszą się zresztą do najpierwszych lat istnienia departamentu poznańskiego, którego granice uległy znacznym zmianom w 1796 r.

[5]) Holsche *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuost-Preussen"*, Tom II., str. 429.

rost naturalny ludności w ciągu roku 1800—1801 wyniósł, według Holschego, wskutek znacznej śmiertelności tylko 4883 dusz; uwzględnić nadto należy napływ obcokrajowców, Holsche wspomina np. o 185 rodzinach, które osiedliły się na wsi w tym roku. Tak więc ogólną ludność departamentu poznańskiego w 1801 r. conajmniej w ilości 605.000 dusz wypadnie przyjąć.

Reformowani (kalwini), których w końcu XVIII. wieku pozostała tylko garstka, choć w XVI. i początkach XVII. wieku wyznanie helweckie szeroko w tych stronach było rozpowszechnione, przeważnie byli Polakami. Na obszarze, z którego utworzony został departament poznański, w czasach rozkwitu reformacyi było blisko 40 polskich zborów helweckich; z tych istniało w czasie upadku Rzeczypospolitej tylko sześć: Leszno, Orzeszkowo, Skoki, Poznań [1]), Jędrychowice, Weszków. W Orzeszkowie, aż do zaboru kraju przez Prusy, nabożeństwo odbywało się tylko po polsku, w innych gminach po polsku i po niemiecku. Jedynie w Łasowicach kazania wygłaszane były tylko po niemiecku [2]). Nabożeństwa niemieckie ewangelickie w Polsce bywały zresztą często skutkiem nie tyle niemieckości zborów, ile wielkiego braku kaznodziejów polskich, na który użalano się zwłaszcza w drugiej połowie XVIII. wieku [3]). Szkoły reformowane pielęgnowały język polski i były uczęszczane także przez katolików. Słynne kalwińskie gimnazyum „*illustre*“ w Lesznie (podniesione na stopień szkoły wyższej w 1626 roku) zaćmiło w swych początkach wszystkie szkoły wielkopolskie, zwracano zaś w niem wówczas głównie uwagę na dokładną znajomość języka polskiego; kształciła się tam licznie młodzież szla-

---

[1]) W Poznaniu w czasie zaboru gmina reformowana bardzo była słabą. Nabożeństwa odbywały się w najętej sali. W pierwszych latach rządów pruskich nie było kaznodziei. Do szkoły chodziło trochę dzieci katolickich, a tylko trzy reformowane. (R. Prümers, „*Die Stadt Posen in südpreussischer Zeit*“ — *Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen*, XXII). Gdy kościół zniesionego klasztoru karmelitów zamieniony został na garnizonowy, kalwini otrzymali pozwolenie odprawiania w nim swych nabożeństw.

[2]) Łukaszewicz, „O kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce“ 1835. W. Krasiński, „Zarys dziejów reformacji w Polsce“, wyd. J. Burschego, 1903. Werner — Steffani, *Geschichte der evangelischen Parochien in der Provinz Posen*“, 1898. H. Kleinwächter, „*Kirchenwesen*“ *(Das Jahr 1793“)*, 1895.

[3]) Protokół Delegacyi 1775 r. Sesya 65 27/2. Korzon, „Wewnętrzne dzieje Polski...“ Tom I. Anonym (Sirisa), „*Polen zur Zeit der zwei letzten Theilungen...*“ 1807.

checka, nietylko dysydencka, ale i katolicka. Po pożarze Leszna z 1656 r. gimnazyum na nowo otwarte nie odzyskało przez czas dłuższy pierwotnej sławy; język polski był w dalszym ciągu pielęgnowany, wykładał go osobny nauczyciel, ale głównie zajmowano się i posługiwano łaciną. Zakwitło znowuż gimnazyum leszczyńskie w drugiej połowie XVIII. wieku, pod rektorami z rodziny Kassyuszów, polskość zyskuje w niem na wpływie, a rozgłos zakładu ściąga doń młodzież katolicką. W chwili zaboru rektorem był kaznodzieja polski Krystyan Kassyusz, z polskiej tej rodziny było nadto dwóch profesorów. Przez cały czas istnienia gimnazyum kalwińskiego w Lesznie bywało w niem zawsze dużo uczniów-Polaków, nawet po zaborze. Za rządów pruskich gimnazyum zaczęło upadać. W 1800 r. język polski nie był już obowiązkowy, uczył go prywatnie Jan Ludwik Kassyusz, konsenior jednoty. Nowy rozwój szkoły zaczął się za Ks. Warszawskiego, a doszedł do rozkwitu po 1815 r. w czasach opieki, jaką roztaczał nad nią generał Sułkowski [1]).

Luteranie stanowili w 1801 roku 19% ogólnej ludności departamentu poznańskiego. O ile z cyfry tej wnioskować chcemy o stanie narodowościowym odnośnej części kraju w przeddzień zaboru, to — podobnie jak dla „powiatu nad Notecią“ [2]) — uwzględnić musimy napływ ewangelicko-niemiecki, w latach 1793—1801. Od liczby luteran w 1801 roku odliczyć przedewszystkiem należy ludność wojskową i urzędniczą. Wojskowych z żonami i dziećmi było w miastach departamentu poznańskiego 10.415, na wsi 3752, razem 14.167 (Holsche); była to ludność prawie wyłącznie ewangelicka, wyznania augsburskiego (luterańska), obcokrajowa, t. j. niemiecka. Z liczby 9 tysięcy urzędników, wprowadzonych przez rząd pruski do Prus Południowych i Nowowschodnich [3]), kierując się stosunkiem ludności i rozległości, oraz pamiętając, że departament poznański dostał się w szczególną opiekę rządu, który odrazu, już w 1793 r., starał się osadzić tam jaknajwiększą liczbę swych urzę-

---

[1]) Holsche, *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuostpreussen“*. Tom II. Stan. Karwowski, „Kronika miasta Leszna“. Poznań 1877.

[2]) „Rok Polski“ Nr. 9. Z. Kirkor, „Zmiany w stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich“.

[3]) Władysław Smoleński, „Rządy pruskie na ziemiach polskich“.

dników [1]), przyjąć ich trzeba dla tegoż departamentu w 1801 r. blisko 2500, a z rodzinami i domownikami powyżej 8000 dusz. Niemiecka ta ludność była także niemal powszechnie luterańską.

Rozpatrzeć nadto musimy osadnictwo niemiecko-ewangelickie, wiejskie i miejskie.

Województwa wielkopolskie, zajmowane przez Prusy w 1793 roku, w nierównie lepszym znajdowały się stanie, niż kraj nadnotecki w czasie pierwszego podziału Rzeczypospolitej. Okres czasu od 1772 do 1793 r. zaznaczył się naogół w Polsce szybkim wzrostem przemysłu, handlu, oświaty i także na miasta późniejszego departamentu poznańskiego ożywczy wpływ wywarł. Jednak nie zrobiły one przeważnie na urzędnikach pruskich korzystnego wrażenia. Tylko Poznań, Leszno, Wschowa i Rawicz miały część domów murowanych, w 15 innych miastach było razem 34 murowanych domów, w reszcie wcale ich nie było (według źródeł pruskich). Władze pruskie znalazły pewną liczbę miast, w których burmistrzowie nie umieli czytać i pisać. Szereg miasteczek, ludność których trudniła się wyłącznie rolnictwem, kamera poznańska zakwalifikowała do zamiany na wsie, co zresztą wykonanem nie zostało. Miastami temi były: Bledzewo, Pszczew, Ostroróg, Kamionna, Kębłowo, Stobnica, Dupiewo (Dupin), Ryczywół, Dolsk, Moszyn, Krzywin, Kostrzyń, Pogorzela, Mieszków, Dobrzyca, Miłosław, Jaraczewo, Zerków, Mielżyn, Kazimierz, Przemęt, a więc 21 na 120 wszystkich miast i miasteczek w departamencie poznańskim. Tak wielka liczba miast wykluczała pomyślny rozwój znacznej ich części. Było jednak w tej części kraju stosunkowo sporo miast o dobrze rozwijającym się przemyśle, szczególniej sukienniczym; wyrób płótna, przemysł garbarsko-skórzany, browarniczy i gorzelniany, były także dość znaczne. Sukna wielkopolskie szły na jarmarki berdyczowskie, rozchodziły się po Litwie, Rosyi, Mołdawach. Głównemi miastami, uprawiającemi przemysł i handel su-

---

[1]) Zaraz w 1793 roku usunął rząd pruski nietylko urzędników, ale i sługi miejskie w Poznaniu, z racyi nieznajomości niemieckiego języka (Ad. Warschauer „*Städtewesen*"; Prümers „*Das Jahr 1793*"). Podobnie działo się w innych miastach. Burmistrzów z wyboru zastąpił rząd mianowanymi przez się, właściwie urzędnikami. Wielka liczba urzędników, nasłanych do Polski, wykluczała ich odpowiedni dobór, to też w „*Denkschrift des Ministers Friedrich von der Schulenburg-Kehnert über Südpreussen*", autor podnosi zasłużoną niechęć ludności do pruskich „*Offizianten*" i nawet o sędziach mówi, iż są „*ohne Kenntnisse und guten Willen*".

kienniczy, były: Rawicz, Bojanowo, Wschowa, Leszno, Międzyrzecz; ściągano do nich sukna z innych miast i od Holendrów. Szły też sukna do Niemiec z Międzychodu, Brojc, Kargowy, Wolsztyna; Zduny wysyłały do Krakowa, Sandomierza i Lublina, oraz do Rosyi. Sporo mniejszych miast miało także znaczną produkcyę sukienniczą, a więc: Obrzycko, Wartosław, Trzciel, Szmigiel, Zaborowo, Zbąszyń, Wronki, Skwierzyna, Rogoźno; sukno i płótno wyrabiane było w Jutroszynie, Kobylinie (także skóry), Sarnowie, w skromnych rozmiarach i w Swarzędziu. Również Wschowa i Zduny prócz sukna produkowały wiele płótna. Do miast przemysłowych liczył się nadto Krotoszyn. Niemal wszystkie te miasta leżały w pobliżu Śląska i Brandenburgii. Poznań miał wyborną fabrykę wyrobów wełnianych (założoną przez bankiera Klugha), fabryki jedwabne, skórzane i inne, nadto wybitny handel; kupiectwo Poznania w ostatnich czasach Rzeczypospolitej pierwsze po Warszawie i Gdańsku miejsce zajmowało. W innych miastach handel znajdował się niemal całkowicie w żydowskiem ręku [1]).

Wnet po zajęciu kraju, już w 1793 r., zabrał się rząd pruski do podnoszenia, a zarazem niemczenia miast. Zniósł wybieralność burmistrzów i magistratu, powyznaczał na ich miejsce urzędników kamery, tak w miastach królewskich, jako też i szlacheckich, bez żadnego względu na życzenia mieszkańców i właściciela [2]). Pousuwał urzędników, nawet sługi miejskie, o ile nie władali niemieckim językiem. Jako środek skuteczny wydało się rządowi zaprowadze-

---

[1]) *Bericht über den Zustand der Manufaktur und des Frabrikenwesens in dem Posener Kammerdepartament.* Berlin 1793, September 20. A. Warschauer *„Handel, Gewerbe und Verkehr"* (Prümers *„Das Jahr 1793")*. Holsche *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neuost-Preussen"*. Tom II. Korzon „Wenętrzne dzieje Polski..." Tom II.

[2]) Pośród burmistrzów Polaków, usuniętych przez rząd pruski, lub niedopuszczanych przezeń, mimo woli ludności, niejeden miał nazwisko o brzmieniu niemieckiem, np. Szubert w miasteczku Moszyn, lub Konstanty Kegel w Wągrowcu. W Moszynie zamianowany przez rząd burmistrzem jakiś urzędnik Knüppeln zaznaczył się tem, iż koniecznie domagał się kościoła ewangelickiego, mimo iż w mieście było tylko 24 protestantów, wraz z tymi, którzy napłynęli już po zaborze (z aktów tajnego archiwum państwowego w Berlinie. Prümers *Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen* XI). — W Wągrowcu władze pruskie stwierdziły w 1793 r., iż wśród ludności ogromna większość miała nazwiska czysto polskie, nieliczni zaś o nazwiskach niemieckich, także nie władali niemieckim językiem; burmistrz i starszyzna miejska byli bez wyjątku Polakami. Żydów, którym do 1775 r. pobyt w Wągrowcu był wzbroniony, w 1793 r. było

nie szkół wspólnych dla dzieci różnych wyznań (katolickich, reformowanych i luterańskich) — co jednak rozbiło się o opór konsystorza [1]) — oraz łączenie szkół miejskich z garnizonowemi. Nauczycieli zarówno dla dawniej istniejących, jako też dla nowozałożonych szkół, sprowadzał rząd z Niemiec. Główny jednak wysiłek skierował ku osiedlaniu niemieckich rzemieślników. Jeneralna dyrekcya *(Generaldirectorium)* w Berlinie już w 1793 r. wydała, nie zwlekając, przepisy o ulgach i dobrodziejstwach dla osiadających w miastach, nietylko królewskich, lecz i dziedzicznych, które wzięte zostały odrazu pod silny nadzór rządowy. Już także w tym roku wydobył Voss od rządu berlińskiego 20 tysięcy talarów na budowle ogniotrwałe w miastach. Zasiłki dla budujących wydawane były co roku, i tak Leszno dostawało 4 tysiące talarów. Na popieranie miejskiego osadnictwa przeznaczał rząd rocznie, począwszy od 1798 r., 12 tysięcy talarów (etaty z lat 1798—1806, w tajnem państwowem archiwum w Berlinie [2]). Od 1796 do 1799 r. wydano na zasiłki dla obcokrajowych, t. j. niemieckich osadników w Prusiech południowych, głównie zaś w departamencie poznańskim, 78.090 talarów. Otrzymywali oni darmo plac i drzewo, koszta podróży, pięcioletnie zwolnienie od podatków konsumpcyjnych, zasiłki pieniężne na urządzenie warsztatu, uwolnienie od służby wojskowej dla siebie, synów i czeladzi etc. Szczególne starania rozwinął rząd, aby ściągnąć jaknajwiększą liczbę osadników do Poznania, udzielając im zwiększonych zasiłków i ulg.

Zaraz w 1793 r. wydał rząd pruski złożone z 28 pytań *„Indaganda oder topographisch-statistische Fragen über den Zustand*

---

zaledwie 28, w 1800 r. 134; ewangelików około tego czasu liczono już też 20 rodzin. W aktach pruskich z owych lat pozostała o Wągrowcu opinia miasta dla prukich rządów niechętnego, o niespokojnym duchu (Hockenbeck *„Die Stadt Wongrowitz in südpreussischer Zeit“*).

[1]) Tworzenie szkół wyznaniowo mięszanych doradzał minister Voss już w 1793 r., następnie polecało usilnie Generalne Directorium w Berlinie (1801, Januar 31.). Próba miała być zrobiona w Skokach. Istniała tam szkoła kalwińska, uczęszczana także przez dzieci katolickie, a prowadzona przez wychowanka gimnazyum leszczyńskiego, kaznodzieję Wojdę. Uparcie, ale bezskutecznie, chciał rząd złączyć tę szkołę ze słabo rozwijającą się szkołą luterańską (*„Eine Simultan-Bürgerschule in südpreussischer Zeit“* von Rodgero Prümers. *Zeitschrift der historischen Gesellschaft für die Provinz Posen.* XI).

[2]) Fr. Grützmacher *„Grundherrschaft und Bürgerschaft in den südpreussischen Mediatstädten“*.

und die Beschaffenheit der Städte". Materyał zawarty w otrzymanych odpowiedziach jest nieścisły i mało pewny, wykazuje wiele sprzeczności. Znajdują się wszakże wśród niego cenne, chociaż niezupełnie ściśłe dane, opublikowane przez Prümersa w zbiorowem dziele *„Das Jahr 1793"* (Posen 1895), mianowicie liczby ludności, osobno katolickiej, protestanckiej i żydowskiej, dla 47 miast departamentu poznańskiego, w ich liczbie dla Poznania. Miał on mieć wówczas, a więc wkrótce po zaborze, 12.538 mieszkańców, ze zsumowania wszakże poszczególnych cyfr: katolików 7012, ewangelików 2033, żydów 3021, wypadałoby tylko 12.066. Błąd tkwi w zbyt małej liczbie katolików, których ówczesne niemieckie opisy Polski podają 7437 w 1793 r., oraz 47 greków, przy tych samych liczbach dla ewangelików (1918 luteran i 115 kalwinów), oraz żydów, razem 12.538 dusz [1]), więc tyleż co u Prümersa. Według Holschego liczył Poznań w 1800 r. razem z ludnością wojskową 21.473 dusz; żydów było 3496, chrześcijańskiej ludności cywilnej, wraz z 190 zakonnikami, 14.322. Korzon podaje tej ostatniej 15.816 dusz, żydów 4430 [2]); Beheim-Schwarzbach [3]) dla 1796 r. 16.124, dla 1800 r. 18779 cywilnej ludności (z żydami), a ogólnej, więc z wojskiem, 21.473, t. j. tyle co u Holschego. Mimo różnic w cyfrach, jedno jest pewnem: bardzo wielki i szybki wzrost w pierwszych latach rządów pruskich cywilnej chrześcijańskiej ludności Poznania — niezależnie od napływu licznej ludności wojskowej — mimo iż powstanie z 1794 roku i tegoż następstwa spore szczerby wśród Polaków uczyniły. Wzrost ten w ogromnej części przypisać trzeba napływowi ludności ewangelicko-niemieckiej: urzędników, przemysłowców, kupców, rzemieślników, robotników budowlanych etc.

Z innych większych miast, przemysłowych, o przewadze ewangelików: Wschowa, Leszno, Rawicz, Bojanowo, Zduny, dla których posiadamy dane z 1793 (ew. 1794) i 1800 r., tylko Wschowa wykazuje wzrost ludności chrześcijańskiej, przenoszący przypuszczalny przyrost naturalny w odnośnym międzyczasie, Leszno zaś dość duży przybytek żydów; w Rawiczu liczba chrześcijan zmniejsza się nawet trochę. W Międzyrzeczu ogólna ludność cywilna

---

[1]) Fr. Herzberg *„Südpreussen und Neu-Ost-Preussen"*... Berlin 1798. *„Polen zur Zeit der zwei letzten Theilungen... 1807"*.

[2]) „Wewnętrzne dzieje Polski"... Tom I.

[3]) *„Aus südpreussischer Zeit"*.

spada, według danych u Beheim-Schwarzbacha i Holschego, z 3406 dusz w 1796 r. na 3310 w 1800 r. Zastój w rozwoju miast, wyróżniających się dużym przemysłem sukienniczym, był skutkiem niekorzystnych warunków, w jakich znalazł się przemysł ten po upadku Rzeczypospolitej. Silny przyrost ludności chrześcijańskiej znajdujemy wśród większych miast tylko w Rogoźnie, mającym przewagę katolików, oraz w szeregu miast mniejszych katolickich, do których właśnie ściągał rząd najusilniej rzemieślników niemieckich. W Gnieźnie, mimo zwiększającej się wciąż liczby ewangelików (o czem mówi Holsche), ludność między 1796 a 1800 r. spadła jakoby z 3556 dusz [1]) na 3298 (z wojskiem 3979). Według pierwszego pruskiego opisu Polski po zaborach (mniej wartościowego od dzieła Holschego) przez Fr. Herzberga *(Südpreussen und Neu-Ost-Preussen. ...Eine geographisch-statistische Skizze mit Tabellen.* Berlin 1798), miało mieć Gniezno 500 dymów, a 4000 mieszkańców; taką samą liczbę mieszkańców, a 554 dymów, podaje Büsching dla 1788 r. *(Magazin für die neue Historie und Geographie.* Tom XXII). Cyfry te niedokładne i mało są pewne. Znaczne wszakże zmniejszenie się ludności katolickiej Gniezna w początkowych czasach rządów pruskich jest niewątpliwem.

	1793 (ew. 1794) r.				1800 r.	
	katolicy [2])	ewangelicy [3])	ludność chrześcijańska	żydzi	ludność chrześcijańska [4])	żydzi
Wschowa	1049	3112	4161	418	4992	510
Leszno	734	3095	3829	2991	4036	3677
Rawicz	792	5411	6203	1087	6155	1176
Bojanowo	75	2350	2425	151	2496	173
Zduny	602	2689	3291	186	3354	180
Rogoźno (Stare i Nowe miasto) .	1072	833	1905	1044	2495	937
Buk	847	—	847	—	1223	—
Dobrzyca	163	12	175	13	520	15

[1]) Beheim-Schwarzbach *„Aus südpreussischer Zeit"*.

[2]) Wraz z greko-katolikami.

[3]) Luteranie i reformowani.

[4]) Z zakonnikami, a bez ludności wojskowej. Wojskowych z żonami i dziećmi większe liczby były we Wschowie (1168), Lesznie (1295), Rawiczu (754), Zdunach (603).

	1793 (ew. 1794) r.				1800 r.	
	katolicy	ewangelicy	ludność chrześcijańska	żydzi	ludność chrześcijańska	żydzi
Koźmin	1079	134	1213	300	1670	311
Opalenica	582	1	583	—	775	—
Święciechowa . .	1089	5	1094	105	1294	8(?)
Stęszew	522	—	522	23	657	28
Wielichowo . . .	398	1	399	—	554	—
Książ	347	166	513	64	640	76
Żerków	241	3	244	105	556	127

Rozpoczął też zaraz rząd pruski w departamencie poznańskim roboty miernicze, budowanie dróg, regulacyę Warty i Obry, które usiłował uczynić spławnemi. Dla oczyszczenia Warty od Poznania do granicy Nowej Marchii wyznaczył około 64 tysięcy talarów, a roboty rozpoczęto na wiosnę 1794 r. [1]). Dla wszelakich robót publicznych, dla budowli po miastach i w „amtach", robotników i majstrów sprowadzano z Niemiec.

Naogół stosował rząd w departamencie poznańskim i wogóle w ziemiach, nabytych przy drugim i trzecim podziale Rzeczypospolitej, te same środki i metody, których skuteczność widzieliśmy w „powiecie nad Notecią". Prócz dóbr stołowych, także starostwa i dobra duchowne: klasztorne, biskupie, arcybiskupie, kapitulne, zabrane zostały przez rząd, za wypłatą poprzednim posiadaczom skromnych pensyi (t. zw. kompetencyi). Do dóbr tych dołączono majątki ziemskie, skonfiskowane po powstaniu z 1794 r. Część tak powstałych rozległych domen rozdał król pruski „zasłużonym mężom", oczywiście Niemcom. Byli wśród nich książęta (m. in. ks. Ludwik Wirtemberski), ministrowie, dygnitarze, jenerałowie i wojskowi niższych stopni, zwykła uboższa szlachta pruska, nawet kupiec berliński (Treskow) [2]). Nie brakowało wśród obdarowanych wielce dla Prus zasłużonego byłego posła w Warszawie, Lucchesiniego, i samego ministra Hoyma, którego dziełem było właśnie owo rozdawnictwo dóbr, mające na celu wprowadzić mię-

[1]) Jul. Kohte „*Bauwesen*" (Prümers „*Das Jahr 1793*").

[2]) Według „Czarnego rejestru" Helda. Hoym spotkał się ze strony niemieckiej z silnymi zarzutami współczesnych za marnotrawienie dóbr państwowych i z krytvką późniejszych pisarzy.

dzy polską szlachtę odrazu większą ilość niemieckich właścicieli. Obdarowani mieli prawo sprzedaży majątków (z czego korzystali skwapliwie), z tem wszakże zastrzeżeniem, iż ani sprzedawać, ani wydzierżawiać wieczyście dóbr Polakom nie było im wolno; chciał bowiem rząd przeszkodzić, aby dane majątki pod jakąkolwiek formą nie powróciły w ręce polskie (rozporządzenie królewskie z 19. grudnia 1796 r.). Wartość tak rozdanych w ciągu czterech lat dóbr w całych Prusiech południowych wynosiła jakoby około 20 milionów talarów [1]) (ogólna wartość dóbr szlacheckich — 78,148.034 talarów). Dawano wielkie dobra po 50 do 500 tysięcy talarów wartości; razem rozdarowano ich 241 w 52 kompleksach, z tych 11 w departamencie warszawskim, 19 w kaliskim, a 22 w poznańskim (ogólna wartość dóbr szlacheckich w departamencie poznańskim: 39,625.940 talarów, ich liczba: 1146, razem z częściami szlacheckiemi: 1194).

Pozostałe w rękach rządu dobra oddane były początkowo pod nadzór „intendantur", wymagających licznych urzędników, następnie uczyniono z nich „amty" *(Domäneämter)*. Z 11 intendantur w poznańskim departamencie utworzono (według Holschego) 35 „amtów", nadto pozostały 3 intendantury (około 1800 r.). Rozrzucone były „amty" po całym obszarze departamentu, a składały się z 767 miejscowości. Folwarków liczyły 369, wypuszczonych w dzierżawę czasową, a 8 w wieczystą (Holsche). Dochód ogólny z „amtów" wynosił 340.687 talarów, „kompetencyi" wypłacał rząd 88.625 talarów.

Oddalone nieduże części domen zaczął rząd już przed 1800 r. dzielić na małe kawałki i puszczać osadnikom w wieczystą dzierżawę.

Z lasów utworzono 18 osobnych amtów *(Forsteämter)*, przestrzenie nieodpowiednie karczowano i zakładano kolonie.

Zaroiło się w kraju od niemieckich urzędników, dzierżawców, zarządców i oficyalistów w amtach i dobraeh rozdanych. W tabelach u Holschego dla departamentu poznańskiego urzędników w amtach [2]) i jeneralnych dzierżawców znajdujemy podanych w liczbie 342, zarządców i poddzierżawców 1903, leśniczych i służbę leśną 1310, razem 3555 (głównych osób), z czego przynajmniej

---

[1]) Oddano je po taksie 3½ milionów (Holsche *„Geographie und Statistik von West-. Süd- und Nord-Ost-Preussen"*. Tom II).

[2]) *„Beamte"*; wszelkich innych urzędników nazywano *„Offizianten"*.

część trzecią — z rodzinami blisko 5000 dusz — stanowili Niemcy ewangelicy w domenach i w rozdarowanych przez rząd dobrach.

Wielka zaś liczba polskiej ludności: dzierżawców, plenipotentów, komisarzy, ekonomów, oficyalistów, znajdujących dotąd chleb w starostwach i dobrach duchownych, utraciła go i opuszczała kraj, idąc szukać sposobu do życia w zaborze rosyjskim, gdzie stosunki układały się pomyślniej. *„Viele haben sich schon entfernt“*, pisze urzędnik pruski Holsche i zaniepokojony tym faktem, wykazawszy trudność znalezienia zajęcia dla pozbawionych chleba, skoro urzędy z racyi nieznajomości niemieckiego języka były dla nich niedostępne, przemawia usilnie za wypuszczaniem im domen niewielkiemi częściami (5 do 10 włók magdeburskich) w wieczyste dzierżawy. Holsche ostrzegał przed dalszą emigracyą do państwa rosyjskiego, widząc w niej zło i stratę dla Prus, niewynagrodzoną przez osadzanie kolonistów, wielce kosztowne, a ryrykowne [1]). Lecz rząd pruski popierał właśnie emigracyę polskiej szlachty, pozbawionej dotychczasowego zajęcia, i wogóle szlachty nie mającej własności ziemskiej, siedzącej po dworach i miastach (tej było w 1800 roku w departamencie poznańskim 519 rodzin, szlachty mającej posesye 833). Za to gorąco starał się o kolonizacyę, „zgodnie z zasadą Hohenzollernów“ [2]), aczkolwiek ze słabszym stosunkowo skutkiem, niżeli w kraju nadnoteckim. Nie brak gorliwości, ale funduszów, stanął tym razem na zawadzie; wydano ich wszakże niemało, choć dla pożądanego celu jakoby niedostatecznie (według opinii pisarzy niemieckich).

Ówczesne źródło (manuskrypt z roku 1806 pułkownika Rossard) podaje, że w Prusiech południowych do 1806 r. osadzono na 51.439 morgach 1111 rodzin kolonistów, t. j. około 5500 dusz, kosztem 1,180.250 talarów, przyczem szczególnie uwzględniony był departament poznański. Według innych źródeł wydał rząd na kolonizacyę Prus południowych 1,841.083 tal. od 1798/9 do 1806 r. (Klewitz), a akcyę tę prowadził już wcześniej [3]). Według Hol-

---

[1]) *„Da eine armselige Kolonistenfamilie, von der man noch nicht überzeugt ist, ob sie bleiben und sich fortpflanzen wird, dem Staate über 1000 Taler kostet“* (Holsche *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neu-Ost-Preussen“*. Tom II.

[2]) *„Dem Hohenzollernschen Prinzipe getreu“* (Meyer).

[3]) Beheim-Schwarzbach *„Hohenzollernsche Kolonisationen“*. Meyer *„Geschichte der Provinz Posen“*. Wład. Smoleński „Rządy pruskie na ziemiach pol-

schego do końca 1800 r. utworzono w departamencie poznańskim 13 kolonii *(Kolonistenetablissements)* [1]) i osadzono 109 rodzin większych gospodarzy ($1^1/_2$ do 2 włók magdeburskich) oraz 32 rodzin wyrobniczych, razem ponad 700 głów. Otrzymali oni 5241 magdeburskich morgów dawnej pustki. Koszt sprowadzenia i osiedlenia wynieść miał 142.267 talarów; poprzednio wydano już 67.365 talarów. Koloniści otrzymywali, prócz kosztów podróży, 3 do 6 lat zwolnienia od wszelkich ciężarów publicznych i opłat, od służby wojskowej dla siebie i sprowadzonych synów, połowę potrzebnego inwentarza żywego i martwego, budynki mieszkalne i gospodarskie, dziedziczne posiadanie osad; wyrobnikom w razie braku pracy wypłacano dzienny zasiłek.

Na gruntach po świeżo wykarczowanych lasach powstało, według Holschego, 104 osad leśnych *(Forstetablissements)*, o niewiadomej liczbie ludności.

Osadnicy pochodzili przeważnie z Wirtembergii, podobnie jak ci, którzy napłynęli do „powiatu nad Notecią"; o ich wartości wyraża się Holsche bardzo ujemnie *(„weil sie durchaus keine guten Wirte sind")*. Wyznanie osadników, z małymi wyjątkami, było luterańskie.

Obok kolonizacyi państwowej miała miejsce prywatna w dobrach, które przeszły były do rąk niemieckich, bądź rozdane przez króla, bądź nabyte przy pomocy pożyczek rządowych, chętnie na ten cel udzielanych. Wiadomo, iż ks. Oranii do rozległych dóbr, zakupionych w powiecie kościańskim, sprowadził bardzo licznych osadników; podobnie działo się w babimojskiem, gdzie hr. Lüttichau otrzymał starostwo kopanickie i 2 majątki, a inni obdarowani 6 majątków ziemskich, zapewne i w międzyrzeckiem (starostwo międzyrzeckie wraz z czteroma majątkami dostało się margrabiemu Lucchesini, książę Hohenlohe otrzymał 6 majątków), niemniej w dobrach Przemęt, które wraz z pięciu innymi majątkami przypadły hrabiemu Kayserling [2]) etc. Napływali nadto z Niemiec, prócz kolonistów, rzemieślnicy wiejscy różnego rodzaju, których

---

skich". Holsche *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neu-Ost-Preussen"*. Tom II.

[1]) Hellefeld, Rosenfeld, Heinrichsfeld, Hungfeld, Ludwigsburg, Rotenfelde, Brunefeld, Oborka, Moschardsberg, Ulrichsdal, Lautersbrunn 1), Lautersbrunn 2), Sturmhof.

[2]) L. Żychliński „O własności większej w Poznańskiem".

duże liczby w departamencie poznańskim w 1800 r. wykazują tabele u Holschego. Wspomnieć wreszcie należy o nauczycielach niemieckich sprowadzanych przez rząd, nie mogący się zresztą na polu szkolnictwa wiejskiego w Prusiech południowych pochlubić znaczniejszymi rezultatami (w domenach otworzono 87, w dobrach szlacheckich 168 szkółek wiejskich).

Dla ścisłego określenia, ile przybyło do departamentu poznańskiego osadników wiejskich i miejskich, i wogóle ludności napływowej różnego rodzaju, od 1793 do 1801 roku, brak dostatecznych danych. Sądząc jednak z przytoczonych powyżej cyfr cząstkowych i z ogólnych wiadomości, przyjąć należy — zdaniem naszem — cały napływ ewangelicko-niemiecki (t. j. wraz z wojskową i urzędniczą ludnością, w rozpatrywanej przez nas części kraju, od chwili zaboru do roku 1801, w wysokości conajmniej 30 do 35 tysięcy dusz. Napływ ten uderzał już współczesnych. Wzmiankuje o nim kilkakrotnie Holsche; według niego nawet do miejscowości dalej w głąb kraju położonych ściągali licznie Niemcy (n. p. do Słupcy [1]) — *„es sind viele Deutsche dorthin gezogen“* [2]). Ze sprawozdania z 1800 r. z podróży nadradcy szkolnego Meierotto po departamencie poznańskim, napisanego przez towarzysza podróży i tłómacza Zaborowskiego, dowiadujemy się, iż od śląskiej granicy protestantów przybywało nie do wiary silnie *(„die Protestanten sich unglaublich vermehren“)* [3]).

Odliczywszy powyżej omówiony napływ od liczby luteran w departamencie poznańskim w 1801 r., pozostanie najwyżej 80 do 85 tysięcy dusz, co stanowiłoby 14 do 15% ludności ogólnej (bez napływu). Chcąc stąd wnioskować o stosunkach wyznaniowych i narodowościowych w chwili zaboru, należy nadto uwzględnić emigracyę polskiej ludności, straty z 1794 roku [4]), oraz silniejszy

---

[1]) Obecnie w gubernii kaliskiej, nad samą granicą W. Ks. Poznańskiego.

[2]) *„Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neu-Ost-Preussen“*. Tom II.

[3]) *„Eine Simultan-Bürgerschule in südpreussischer Zeit“* von Rodgero Prümers.

[4]) Represye rządowe przeciwko biorącym udział w powstaniu wielce były surowe. Rozporządzenie królewskie nakazywało każdego, z bronią w ręku napotkanego, bez pardonu powiesić lub ubić *(niederzuhauen)*. Każdy wyższego stanu, świecki lub duchowny, zamięszany w „niepokojach“, powieszony miał być, lub skazany na dożywotnie więzienie i konfiskatę majątku, a wszyscy podejrzani, bez różnicy stanu i płci, — w fortecy zamknięci. Ciężkie też kary groziły udzielają-

w owych czasach przyrost naturalny u ewangelików, aniżeli u katolików (na co zwracaliśmy już uwagę przy omawianiu rozwoju stosunków w „powiecie nad Notecią“) [1]. To wszystko mając na uwadze, w tej części Wielkopolski, z której utworzony został departament poznański (w granicach z 1796 r.), w przeddzień zajmowania jej przez Prusy procent luteran w stosunku do ludności ogólnej wypadnie przyjąć z pewnością nie wyższy nad 14%.

---

cym gościny powstańcom. Rozporządzenie to miało być stosowane doraźnie, bez postępowania sądowego (później zostało złagodzone). Georg Knoll *„Der Feldzug gegen den polnischen Aufstand im Jahre 1794“*. 1898.

[1]) „Rok Polski“ Nr. 9.

Z. Kirkor.

(C. d. n.)

Nowa Książka o młodym Mickiewiczu.

Wieść o odnalezieniu archiwum Filomatów u rodziny sekretarza ich, Onufrego Pietraszkiewicza, obudziła wśród historyków literatury gorączkowe wprost zainteresowanie. Nie czekano na udostąpnienie całości; wystarczyło, że prof. Kallenbach wydał to co tam było Mickiewicza i że p. Pietraszkiewiczówna podała w swoim *Zarysie* historyi wiekopomnego Towarzystwa niektóre tej historyi dokumenta — a już pojawiły się pierwsze dorywcze studya nad młodym Mickiewiczem. Z natury rzeczy miały one charakter analityczny raczej, wynotowywały najważniejsze zdobycze, korygowały chronologię twórczości Mickiewicza i rozkładały całe to odkopane bogactwo, oglądając z radością każdy klejnot nowych wiadomości o poecie z osobna, oceniając siłę jego opalizowania. Z syntezą trzeba było czekać, aż się całe archiwum, a przynajmniej cała korespondencya ukaże w druku i pozwoli wżyć się w atmosferę życia poety i jego otoczenia głębiej, stać się niejako, w przybliżeniu bodaj tego życia uczestnikiem. Na szczęście Akademia Umiejętności nie kazała zbyt długo czekać i oto dziś już nietylko korespondencya Filomatów, ale i owa synteza życia i twórczości młodego Mickiewicza leży przed nami.

Podjął się jej ten, na którego odrazu musiały się zwracać oczy, gdy się o takiej syntezie myślało. Zdawało się odrazu rzeczą pewną, że prof. Tretiak musi zrobić nowe, wielorako uzupełnione wydanie swej *Młodości Mickiewicza,* bo przecież nie zechce dopuścić do tego, aby książka, którą dotąd każdy inteligentny Polak uważał wprost za obowiązek przeczytać — stała się przestarzałą.

Jakoż prof. Tretiak tych słusznych oczekiwań nie zawiódł, ale zrobił niespodziankę o tyle, że dał książkę całkiem nową, od dawnej prawie niezależną. Wiem, że niespodzianka ta nie przez wszystkich mile była przyjętą. Wszakże powstaje z niej konieczność czytania dwu książek zamiast jednej, a czas każdemu drogi.

Na decyzyę autora działały jednak względy ważniejsze dla niego niż wzgląd na ekonomię czasu czytelników. Były to względy dla jego indywidualności jako uczonego badacza bardzo charakteryczne, bo nienaukowe bynajmniej. Oto co sam na ten temat pisze:

„W pracy dawniejszej zostało wiele rzeczy, które nie utraciły wartości, pomimo odkrycia nowych materyałów, i mogłyby one przejść bez zmiany lub z lekkiemi tylko zmianami do obecnej; np. tło obyczajowe wileńskie, rozbiory estetyczne, komentarze krytyczne, różne poglądy ogólne i t. d. Ale wybieranie tych ustępów i kojarzenie ich z nowymi mogło nadać nowej pracy pewną martwość, wywołać pewien brak zestrojenia, którego chciałem uniknąć. Więc wolałem rzecz całą tak zaokrąglić, aby była oparta tylko na nowych studyach, na nowym materyale, na jednolitych nowych wrażeniach".

A więc, mówiąc poprostu, przeważyły względy artystyczne. Kto wie o tem, że prof. Tretiak jest nietylko pisarzem-uczonym, ale i pisarzem-artystą w najpełniejszem tego słowa znaczeniu, kto rozumiał, czytając jego książki, że każda z nich ma nietylko objektywną jedność przedmiotu, ale i subjektywną jedność stanu uczuciowego autora, że każda jest rezultatem nietylko studyów ale i przeżyć — ten go i teraz zrozumie. Myśląc o młodym Mickiewiczu jakby na nowo, mając całą masę nowych wrażeń, nie chciał prof. Tretiak kleić ich mechanicznie z dawnemi, pragnął, żeby jego książka miała wyraźne piętno tego jednolitego i świeżego przeżycia, z którego miała powstać.

Jakoż ma ona to piętno i w tem właśnie tkwi główny jej urok. Mickiewicza i jego przyjaciół, ich wspólne i indywidualne marzenia, prace, dążności, przedstawił prof. Tretiak tak żywo, jakby sam w tem otoczeniu żył i poprostu pamiętnik pisał. Jeżowski, Malewski, Zan, Czeczot, Pietraszkiewicz tutaj narodzili się poraz drugi i odtąd wśród młodzieży polskiej mogą żyć już nie jako martwe pojęcia, ale jako osobiści każdego znajomi.

W przedstawieniu rozwoju całej organizacyi filomackiej umyślnie może nie był autor zbyt dokładny, aby nie obarczać książki balastem rzeczy suchych, informacyi, specyalistów jedynie mogących obchodzić. Natomiast uwydatnił znakomicie, co każdy z głównych organizatorów w ten, jedyny w swoim rodzaju, gmach wnosił własnego, z własnej duszy i temperamentu, jak się te bardzo różne usposobienia miarkowały nawzajem, równoważyły i harmonizowały. Jak Malewski przez swoje czytanie w niemieckiej literaturze był tym pomostem, który od Voltaire'a wiódł Filomatów ku Schillerowi; jak rzymska dusza Jeżowskiego była sprawdzianem moralnym dla wszystkich; jak przez Zana płynął strumień filomackiej piękności duchowej, promieniejąc na coraz szersze zastępy młodzieży; jak wreszcie u Mickiewicza przyszły Towiańczyk wołał już: „My powinniśmy utworzyć sektę moralną, przyjąć pewne prawdy moralno-religijne".

Mickiewicz oczywiście nie schodzi tu z pierwszego planu. Wszakże „głównem dążeniem" prof. Tretiaka było, według własnych jego słów: „ująć psychę Mickiewiczowską za skrzydła i ze znaków na tych skrzydłach wyrozumieć życie poety i jego twórczość". Odczytywał też te znaki, które się w archiwum Filomatów przechowały nadzwyczaj starannie, często mozolnie i jeżeli ten mozół nie pozostawił w książce ani jednej kropli potu, którаby ją obciążyła, to znów tajemnica tryumfującego zawsze artyzmu jej kompozycyi. Z pewnością w żadnej książce dotąd nie wystąpił Mickiewicz takim pełnym, takim żywym człowiekiem. Z pewnością w żadnej tak nic a nic nie był abstrakcyą. Ten ognisty, kipiący wprost temperament, który nigdy nie pozwoli poecie stąpać równymi krokami, ale zato pozwoli mu „skakać daleko", ukazuje nam się tutaj we wszystkich zakresach jego czucia i działania. Widzimy też jak się biorą z tym temperamentem za bary owe potężne moce moralne, które równocześnie w duszy poety i naokoło niej są czynne. Jeżeli jednak trzymają go one naogół w karbach, to tylko dlatego, że geniusz może mu dać zawsze potężny odpływ w artystycznej twórczości. Widać doskonale z książki prof. Tretiaka, że Mickiewicz stawał się tem, czem się stał, w niemałym trudzie, wśród ogromnej pracy nad sobą. Czuje się tutaj, z jakiej głębiny własnych doświadczeń wysnuł on później owo słynne przekonanie, że „trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę".

Doświadczenia te już w pracy nad ustawami Towarzystwa odgrywały, jak przypuszczam, pewną rolę. Nie skrupulatny Jeżowski przecież, ale właśnie poeta Mickiewicz był główym apostołem pedanteryi i formalistyki w przestrzeganiu tych ustaw. Ma się wrażenie, że lękając się potęgi swojej indywidualności, chciałby ją skrępować pętami w duszę samą wrzynających się więzi społecznych, że chciałby z tych ustaw uczynić irracyonalną jakąś potęgę nałogu, którejby mechanicznie, nałogowo stawał się powoli posłusznym.

Nie bylejakim też sprzymierzeńcem czujnego zmysłu moralnego poety w jego walce z własnemi namiętnościami była też jego ogromna pracowitość. Kształceniu się charakteru pomagało ciągłe, usilne kształcenie umysłu i artystycznego zmysłu. Filomatom poświęcał Mickiewicz mnóstwo czasu i myśli. Będąc jednym z główych ich organizatorów i ustawodawców, był równocześnie ich oficyalnym wieszczem i zarazem generalnym krytykiem ich twórczości. Autorytet zaś jego w sprawach literackich rósł właśnie stąd, że przy wrodzonem poczuciu piękna, pracował jeszcze nad wtajemniczeniem się w jego misterya wprost żmudnie. Można powiedzieć, że mało który z poetów świata tak sumiennie i systematycznie przygotowywał się do swego zawodu jak Mickiewicz. A właśnie można to znów powiedzieć dopiero na podstawie filomackiego archiwum. Prof. Tretiak wyzyskał je i w tym kierunku doskonale i pracę „estetyczną“ Mickiewicza oświetlił jasno w najistotniejszych jej punktach, pomijając wszelkie drobne szczegóły.

W pierwszym roku kowieńskim widzimy znów jak Mickiewicz z właściwą sobie gorliwością oddaje się pracy nauczycielskiej. Żelazne w młodym Filomacie poczucie obowiązku zwalcza przez ten rok wszelkie wewnętrzne i zewnętrzne trudności. Wszelkie osobiste upodobania, wszelkie bardziej umiłowane zajęcia idą na bok — praca nad przygotowaniem lekcyi (a uczy Mickiewicz całego szeregu przedmiotów) pochłania czas całkowicie. Jeżeli zaś ta gorliwość nie okaże się trwałą, to będzie to jedynie wynikiem bolesnego spostrzeżenia, że pomiędzy rezultatami pedagogicznymi tej pracy a sumą włożonego w nią talentu i czasu jest — z winy miejscowych stosunków — zbyt jaskrawa dysproporcya. Instynkt samozachowawczy geniuszu odezwał się w drugim roku nauczy-

cielskiego zawodu i zaprotestował z całą mocą przeciw marnowaniu go na jałowym niestety w Kownie szkolnym gruncie. A właśnie tymczasem dojrzewał ten geniusz w całej młodzieńczej chwale i wywalczywszy sobie wreszcie w sumieniu poety swoje prawo, trysnął teraz pierwszymi arcytworami.

Ów proces dojrzewania śledzi prof. Tretiak od początku bacznem okiem. Oczywiście — pierwszy krytyczny wydawca młodzieńczej twórczości Mickiewicza, autor pierwszego gruntownego, estetycznego jej rozbioru — nie chciał teraz powtarzać tego, co już dawniej powiedział. Dlatego zajął się głównie, bądźto utworami dopiero w archiwum filomackiem odkrytymi, bądź też — na podstawie dokumentów tego archiwum — rewizyą i uzupełnieniem dawnych studyów. W ustaleniu, względnie sprostowaniu niektórych szczegółów chronologicznych wyręczyli prof. Tretiaka już prof. Kallenbach lub Szyjkowski. Jemu samemu natomiast zawdzięczamy odkrycie, przytoczenie i omówienie przeoczonego przez prof. Kallenbacha i pominiętego w jego wydaniu *Nieznanych pism A. Mickiewicza. Prologu do bitwy,* którym Mickiewicz zagajał obchód imienin Zana w grudniu 1818 r. i zarazem pojedynek poetycki solenizanta z Czeczotem. Co ważniejsza zaś może, rzucił prof. Tretiak całe snopy nowego światła na tak ważne młodzieńcze utwory Mickiewicza, jak *Hymn na dzień Zwiastowania, Odę do młodości, Romantyczność* lub *Żeglarza.*

Sam krytyk zdaje się najwięcej wagi przypisywać temu odkryciu, które uczynił wykazując związek ideowy zachodzący między *Odą do młodości* a książką Helvetiusa *De l'esprit.* Istotnie jest to wiadomość bardzo cenna. Helvetius okazuje się tutaj jednym z tych przewodników, co dzieci wieku oświecenia usidli w przestwory romantyzmu. W entuzyazmie, jaki w Mickiewiczu idee Helvetiusa wzbudziły, czuć jakby radość na myśl, że czując podobnie jak ten francuski encyklopedysta, nie staje się przecież widocznie zupełnym przeciw wielbionemu tak długo „oświeceniu" buntownikiem.

Obok tego bardzo ważnego przyczynku do genezy *Ody do młodości* udało się prof. Tretiakowi wydobyć z korespondencyi filomackiej nader ciekawe objaśnienia do tak głęboko odczutego utworu Mickiewicza, jak *Żeglarz.* Pokazało się, że ten wiersz dopiero na tle znajomości ówczesnych kowieńskich poezyi poety,

w szczególności na tle jego stosunku do pani Kowalskiej można należycie zrozumieć. W sposobie zaś patrzenia na ten stosunek nie daje się prof. Tretiak unosić zbyt daleko idącym a niczem zgoła nieuzasadnionym podejrzeniom innych krytyków i oświetla tę dość zawiłą kartę młodzieńczej biografii Mickiewicza tak jak jedynie należy. Całą różnicę, jaka zachodziła między uczuciami poety dla p. Kowalskiej a uczuciem jego dla Maryli Wereszczakówny odczuł też prof. Tretiak nadzwyczaj subtelnie. Zupełnie przekonywające wyjaśnienie genezy *Hymnu na dzień Zwiastowania* jest tego odczucia najlepszym wyrazem i nadaje zarazem temu hymnowi nadzwyczaj charakterystyczne znaczenie. Jako objaw uczuć ściśle religijnych był on zupełną w ówczesnym stanie wiary Mickiewicza niespodzianką zgoła niewytłómaczoną. Natomiast jako objaw ścisłego splotu potężnych uczuć erotycznych z niemniej potężnem poczuciem napływających fal genialnego natchnienia — t. j. tak właśnie jak go tłómaczy prof. Tertiak — staje się błyskawicą oświecającą chmurne głębie ducha poety i odsłaniającą niedalekie wierzchołki jego następnej twórczości.

W tym drugim roku swego pobytu w Kownie tworzy Mickiewicz już tylko z głębokich własnych przeżyć. Jest już Mickiewiczem w całem tego nazwiska znaczeniu. Cała poprzedzająca ten rok twórczość była dopiero ową „grubą tkanicą, w której zimuje dusza gąsienica, nim sobie piersi do lotu wyrobi, skrzydła wyprzędzie, wytrze i ozdobi". Były to tylko ćwiczenia i tylko jako takie mogą zajmować. Szkoda, że prof. Tretiak pominął właśnie najciekawsze z nich, najwięcej obiecujące, mianowicie *Kartoflę*. Znamy ją przecież nie „tylko z tego (jak pisze autor), co o niej podał Odyniec na podstawie opowiadań Mickiewicza i Kallenbach na podstawie pośredniego jej poznania w ułamku, jaki się zachował". Wszakże cały początek (260 wierszy) odkrył w *Echu warszawskiem* Z. Przesmycki i przedrukował w *Nowej Gazecie* jeszcze w 1911 r. Dalszy przedruk przyniósł w tym samym roka *Czas* krakowski, a dziś jest ten fragment już powszechnie dostępny w VII. tomie Kallenbachowskiego wydania dzieł Mickiewicza. W porównaniu z *Panią Anielą* objawia on postęp artystyczny bardzo znaczny. Dźwięk klasycznego wiersza zbliża się tu już do tego, który w parę lat później bił o uszy witanego w Wilnie Lelewela, a obrazki przyrody mają tu i ówdzie jakby daleką woń *Pana Ta-*

deusza, co zresztą prof. Tretiak na podstawie relacyi Odyńca zdaje się nawet przeczuwać.

Ten drobny brak w jego książce, jakim jest przeoczenie *Kartofli,* może oczywiście być z łatwością usunięty w następnem wydaniu, którego niewątpliwie niedługo okaże się potrzeba.

Książka bowiem jest z tych, które czytać będzie ogół, nie tylko specyaliści. Będzie ją zwłaszcza napewne czytała młodzież, której Mickiewicz Filomata powinien być naturalnym patronem, źródłem najlepszych życiowych natchnień.

Józef Ujejski.

Polityka, prawo i etyka.

III.

Prawo i etyka.

13. **Powstanie i zadania prawa.** Zanim naród przystąpił do prawnej organizacyi państwa (5), musiał już mieć prawo do tego przygotowane. Zatem naród, jeszcze przed urządzeniem się jako państwo, wytworzył swe prawo pierwotne w czasach przedhistorycznych. Zgodnie z dzisiejszym poglądem na ewolucyę narodu, przyjmujemy, że jego historya rozpoczyna się z chwilą jego wystąpienia w organizacyi państwowej, która wtedy już była dokonana. Ztąd ważny wniosek, że prawo jest dziełem narodu, nie zaś państwa. I to się nie zmienia po zaistnieniu państwa tam, gdzie prawo dalej się tworzy i przemienia w drodze, co się zowie naturalnej, którą jest ciągły i stateczny zwyczaj, jako zewnętrzny objaw ducha i dążeń narodu. Że następnie tylko prawo zwyczajowe odpowiada naturze stosunków prawnych najpewniej i tak samo dalej się rozwija w sposób naturalny, ztąd pochodzi, że prawo nie powinno być regulatorem stosunków społecznych, z zewnątrz narzuconym, lecz że tkwi we wnętrzu i w istocie tych stosunków, zwyczajem uzasadnionych (Koschembar-Łyskowski). Ze samychże owych stosunków prawo, bądź naturalnie zwyczajem wyrasta, bądź przez to, że prawdziwie tam poznane lub intuicyjnie ztamtąd wyczute, zostaje ucieleśnione w ustawie (prawo sztuczne, pisane). Kto miał sposobność poznać odrębne i osobliwe stosunki w świecie nafciarskim, które tam, z osobnych jego warunków, zwyczaj powołał do życia, ten zarazem mógł zaobserwować, że się z tych stosunków osobne wywiązało prawo, do jego potrzeb zastosowane. Możemy sobie proces natu-

ralnego, zwyczajowego tworzenia się prawa także i tak wyobrazić, w naukową je ujmując konstrukcyę, że niem się staje odpowiednie wskazanie t. zw. prawa natury wtedy, gdy z czasem nabrało mocy przynaglającej z woli i przekonania ogółu, opartych na poznaniu i doświadczeniu *(opinio necessitatis)*. Przekonanie o możebności istnienia prawa natury, przez pozytywistów prawnych długi czas bojkotowane, przypływa do nas falą powrotną, domagając się pełnego uwzględnienia w nowym porządku prawnym, po wojnie spodziewanym. Prawu temu braknie t. zw. sankcyi, czyli egzekucyi, zupełnie; ale jest podtrzymywane wolą powszechną uważania i przestrzegania danej normy jako koniecznego warunku spółżycia państwowego z rządem i z ziomkami, jak gdyby było prawem obowiązującem. Z czasem może uzyskać sankcyę trwałym zwyczajem lub ustawą; ale może też przyjść do urzeczywistnienia tejże siłą mocy (zbrojnym zamachem stanu, rewolucyą). Prawo, co się zowie rodzime, będące zwierciadłem ducha narodu, jego dążeń i nadziei, najpewniej może się wytworzyć tylko ewolucyą prawa natury drogą zwyczaju. I nic się w tem nie zmienia przez to, że mu się nadaje formę ustawy pisanej, jak np. Ustawy rządowej 3-go maja. W Europie rodzime prawo zwyczajowe mają tylko Kościół i Anglia. Atoli w tych organizacyach także prawo pisane obowiązuje obok zwyczajowego. Ustawa i zwyczaj, obydwa te źródła wydają prawo równej mocy, tworzącej i uchylającej. Jeżeli się w zbiorowisku ludzkiem, w państwie lub w innem, ruch społeczny wzmaga i nabiera chyżości, często nagle komplikuje i niespodziewanie zmienia tak, że powolny zwyczaj nie może za tem wszystkiem nadążyć, to społeczeństwo musi powierzyć prawodawstwo państwu. Na kontynencie panuje przeważnie pozytywne prawo pisane, które państwo wydaje za pomocą swej machiny prawodawczej. Zdawałoby się jednak, że w państwach o ustroju konstytucyjnym odbywa się proceder prawodawczy przy udziale reprezentacyi narodu, pod wpływem narodu i zgodnie z jego wolą. Ale wiemy aż nadto dobrze, że spółudział narodu, w tej formie, jest zazwyczaj tylko formalny i fikcyjny; już Arystoteles na to zwrócił uwagę, że ów spółudział może być rzetelnym i rzeczywistym tylko w małych państewkach, np. w kantonach Szwajcaryi, gdzie porozumienie się między obywatelami jest możebne i łatwe. W wielkich państwach jest prawo pisane obcym przybyszem, którego naród nie wykołysał w kolebce zwyczaju; sam

naród musi się dopiero doń przyzwyczajać, gdy gotowe i dojrzałe doń przybywa. Zkąd? z krainy państwa, które to sztuczne prawo od narodu odrywa i czyni je zaświatem, jeżeli jest źle obmyślane i naród je boleśnie odczuwa. Prawa nieprawidłowe *(unrichtiges Recht)* zadają mu rany, więc nie dziw, że obywatel swoje państwo wtedy za wroga uważa. Przez takie prawo znieprawione, państwo, w wyobrażeniu obywatelstwa, przestaje być organizacyą, skupiającą jego siły na wewnątrz i zewnątrz, — obywatelstwo w niem nie odczuwa zespołu wszystkich potęg społecznych, lecz je uważa jako obce mocarstwo, albowiem trudno mu pojąć, że zwierzchność państwa gnębi swoje własne obywatelstwo. Co z tego może wyniknąć, na to świeżym przykładem rosyjska rewolucya w marcu 1917 r. Atoli gdy naturalne źródło zwyczaju prawnego wyschło lub zostało zatrzymane, to trzeba się pogodzić ze sztucznem prawem pisanem. Sztuka prawodawcza wtedy święci tryumfy —, obywatelstwo godzi się i jednoczy ze swojem państwem w zwartą jednię, gdy mądry prawodawca umie trzymać rękę na tętnie życia narodu, a zarazem w tem spółczuje, co naród cieszy i boli. Wtedy nawet prawo nadane może być zwierciadłem jego myśli, dążeń i zamiarów, i wytworem jego rodzimej kultury. Albowiem nawet język, najwspanialszy wytwór ludzkiej kultury, doznaje w prawodawstwie jak najtroskliwszej uprawy, ażeby był doskonałym i pięknym wyrazem prawnej powagi.

Po ufundowaniu państwa dalszym jest prawa zadaniem zaprowadzenie i utrzymanie w niem porządku zewnętrznego, rozpoczynając zakazem pomocy własnej, która jest negacyą owego porządku i prawdziwej wolności obywatelskiej i moralnej swobody. Aż do wydania i urzeczywistnienia tego zakazu panuje siła zamiast prawa, która znowu głowę podnosi, gdy powaga prawa zanika. I to było właściwą przyczyną upadku Rzeczypospolitej (Koschembar-Łyskowski). Ten porządek prawny może być wolnościowym (w nowoczesnem państwie rządnem czyli praworządnem) albo despotycznym. Prawo rzetelnie wolnościowe, im dawniejsze, tem jest bogatszą skarbnicą narodowych ideałów, świadectwem, że naród od dawien dawna pragnął najwyższej cywilizacyi i kultury, bo opartych na wolności. Ideały prawie nigdy od razu się nie spełniają; pełzną, ale nie giną; wracają od-

świeżone jak w konstytucyi 3-go maja; kwitną na grobie narodowej państwowości.

Prawo musi być wszechwładnem w swoim zakresie i wolnem od obcych wpływów, także od t. zw. politycznych (16, 17). Inaczej nie mogłoby być ochroną wolności i moralności, a przytem zabezpieczyć porządne spółżycie w zbiorowisku państwowem. Prawo snuje swoje normy z t. zw. racyj prawnych *(rationes juris)*. One nie nadają prawu odrębnej właściwości i nie są jakiemiś osobnemi pobudkami prawodawczemi. Te same racye ma polityka i wszelkie inne działanie dla dobra narodu i państwa. Są to pobudki, podyktowane potrzebami społeczeństwa, idealnemi i ekonomicznemi, jakoto: tradycya, historya, zmienne wyobrażenia o tem, co ma uchodzić za dobry obyczaj, wybitne i odrębne cechy narodu i narodowości, geograficzne położenie, stosunki finansowe, handlowe, przemysłowe i t. d. Później poznamy bliżej, w czem się prawo istotnie różni od polityki (16), a mianowicie w odmiennym sposobie prawodawczego załatwienia danej racyi, która może być także polityczną. Zatem prawo nie ma potrzeby pożyczania sobie tejże u polityki, bo wtedy obciąża się zbytecznym i zgubnym długiem, który je doprowadza do bankructwa (17). Przedewszystkiem zaś prawodawcze rozwinięcie danej racyi głównie dlatego jest samoistne, że prawo ma swoją osobną etykę, a to w znaczeniu, na wstępie podanem, gdzie przedstawiono tezę, że etyka prawna jak każda inna partykularna, jest częścią kodeksu moralnego, w sobie zharmonizowanego (I. w nrze 2-im r. b.). Przeto niezwykle trafnie określił jeden z naszych uczonych istotę prawa słowy, że jest „etyczną równowagą w społecznych i gospodarczych stosunkach ludzkich“ (Koschembar-Łyskowski). Dochodzi do tego określenia po niezwykle bystrej krytyce teoryi wielkiego Iheringa, która uczy, że prawo jest siłą, a to bynajmniej moralną, lecz formalną co się zowie. To ostatnie pojęcie, nauka, nawet u niemieckich rodaków jej twórcy, prawie że jednomyślnie odrzuciła. Ale mimo to walka z niem jeszcze nie jest zbyteczna, bo ta myśl doczekała się wielkiego uznania w szerokich masach społeczeństwa. Wobec tego zjawiska nauka obojętną być nie może, powołując się na „nierozsądek owych mas szerokich“ (Koschembar-Łyskowski). W tem pojmowaniu prawa kryje się jedna z głównych przyczyn obecnej wojny; jako jeden z celów tejże ogłasza się wytępienie tego za-

patrywania i jego praktyki u góry. Ten sam autor zaznacza, jako dotychczas nauka jeszcze nie doszła do „ścisłego określenia treści i roli etyki w prawie“. Ale w tem właśnie powiedzeniu tkwi uznanie osobnej etyki prawnej, która zasadniczo jest już ustalona, ale oczywiście nie stoi na miejscu, lecz się dalej rozwija; tejże zagadnienia muszą być poruszane, gdy się obecnie mówi lub pisze o polityce. Albowiem cały świat dzisiaj po to się zajmuje polityką, aby ją zawrócić z drogi, którą na zgubę ludzkości obrała, od kiedy przestała być zagadnieniem prawa, zostawszy kwestyą siły (Milewski). Przeciwieństwem przemocy materyalnej jest przewaga moralna. Zatem świat cały po to krzyczy na politykę, żeby opamiętała się i zwróciła ku prawu, bo w niem znajdzie moralną ochronę, która zbrojne poparcie uczyni zbytecznem, tudzież by nie burzyła równowagi etycznej, prawem uzasadnionej. Nawet Ihering, twórca prawnej teoryi siły, powiedział, że w narodzie, nawet o wysokiej kulturze, prawo się nie ostoi, jeżeli narodowi zabraknie moralnej siły, energii i stałości woli, potrzebnych również i w życiu prawnem, a to nawet wtedy, gdyby w niem rządziła siła.

Główna trudność w naukowem ujęciu i rozpoznaniu zagadnień etycznych w zakresie prawa na tem polega, że mamy urządzenia prawne i całe dziedziny prawa, które nie są niemoralne, ale tak się przedstawiają, jak gdyby w części były amoralne. Wyszliśmy z założenia, że nic się w całem życiu człowieka i społeczeństw nie może sprzeciwiać etyce (1). Najdosadniejszym wyrazem tej zasady w prawie jest jego prastara, powszechna norma, że akty, przeciwne dobrym obyczajom *(contra bonos mores)*, są nieważne. Atoli, z drugiej strony, nie w całem prawie góruje etyka nad osobnemi wymaganiami około utrzymania prawnego porządku; niekiedy etyka pada ofiarą prawa, pozornie pozbawionego wszelakiej moralności. Całe prawo odwetowe (15) buduje się na zasadzie odwetu, który, sam przez się, nie da się pogodzić z porządkiem moralnym. Prawo toleruje i ujmuje w swe karby prostytucyę i wojnę, nawskróś niemoralne urządzenia i procedery. W tym ostatnim przypadku służy jednak społeczeństwu o tyle, że łagodzi zło, którego usunąć nie jest w stanie, a zatem nie jest przeciwne etyce, skoro umniejsza zło nieuniknione. A co się ponadto jeszcze tyczy wojny, to dotychczas mówimy o prawie wojny tylko w niewłaściwem

tego słowa znaczeniu. Wojna jest samopomocą, a zatem, w teoryi, zawsze bezprawiem, chyba że jest obronną, usprawiedliwioną stanem konieczności. Wojna zaczepna, podobnie jak samopomoc w prawie cywilnem (np. samowładne zajęcie bydła na szkodzie), byłaby również usprawiedliwiona, ale jedynie w warunkach wyjątkowych, ściśle określonych. Skoro ona jednak dzisiaj zależy od swobodnego postanowienia władzy państwa, to zawsze za bezprawie poczytana być musi. Cicero nie powiedział, że „*inter arma silent musae*“ lecz „*leges*“. I dlatego, w czasie obecnej strasznej wojny, coraz więcej ustala się przekonanie, że międzynarodowy porządek prawny dopóty nie da się utrzymać, dopóki wojny będą możebne.

Dla nieco bliższego obznajomienia się z etyką prawną, zaleca się podział prawa na obdzielające (14) i odwetowe (15). Całe zaś prawo, zatem także odwetowe, przenikają i ożywiają dwie potężne siły moralne: sprawiedliwość i słuszność (17). One, przedewszystkiem, nadają mu powagę moralną, zniewalającą do dobrowolnego posłuszeństwa jego nakazom i zakazom. Siła formalna, przymus, egzekucya, czyli tak zw. sankcya, są tylko surogatami dla podtrzymania powagi prawa wobec opornych, jawnych i podstępnych, a zatem wobec tej wyklętej części społeczeństwa bez patryotyzmu i sumienia, która nie uznaje tej prawdy, że „miła wolność, ale kiedy się z posłuszeństwem zgadza i zwierzchność nad sobą czuje“ (Falibogowskiego „dyskurs o marnotrawstwie“ z r. 1626). W szkole życia państwowego, pod kierunkiem rządowym, albo jeszcze lepszym samorządnym, bywa tak jak w szkole żaków. Na brak pilności i sumienności nie zawsze pomogą egzorty; plagi są nieraz nieuniknione, lecz tylko wyjątkowo. Ale w nauce tworzą się pojęcia według normalnego stanu i przebiegu rzeczy, z pominięciem wyjątków.

Możemy zatem pozostać przy powyższem określeniu istoty prawa jako „moralnej równowagi“, pomimo jego cząstkowej, pozornej obojętności ku etyce.

14. **Prawo obdzielające.** Prawo nie zajmuje się kulturą cnoty; ale cnota, życiu społecznemu przydatna, owa cnotliwość czynna, bez ładu prawnego niemożebna. Prawo obdzielające, publiczne i prywatne, obdarza jednostki, dla pożytku społeczeństwa, najwyższem dobrem ziemskiem, wolnością, wzmacnia naturalną

organizacyę rodziny i mienie swoim podmiotom przysparza. Prawo to może liczyć na powodzenie, jeżeli jest rozumne, co od tego zależy, aby odpowiednia racya prawna była, w danych warunkach, trafnie obrana i na szczegółowe normy konsekwentnie rozprowadzona. Wszelkie prawa mają być jasne, wyrozumiałe, nietrudne i nieobojętne, aby nie dały okazyi rozmaitych wykładów i sporów (Seneki listy w przekładzie X. Pilchowskiego). Nietrudne do zachowania będzie każde prawo, jeśli jest sprawiedliwe, a obojętnem nie będzie nikomu, co dba o całość tak samo jak o siebie, jeżeli jest słuszne (16).

15. **Prawo odwetowe.** Można w niem odróżnić prawo egzekucyjne od karnego (lepiej: karżącego). Prawo egzekucyjne zastępuje pomoc własną, karżące daje społeczeństwu zadośćuczynienie za jaskrawe naruszenie zewnętrznego porządku prawnego. Całe to prawo posługuje się zewnętrznym przymusem, który nigdy nie jest zgodny z etyką; nie jest jednak etyce przeciwny, jeżeli przyjmiemy, że moralna swoboda bez porządku prawnego nie da się osiągnąć, a ten bez przymusu nie może być zabezpieczony ze względu na przekorną ludzką naturę (16). Jest to też warunkiem postępu i spokoju, ażeby w społeczeństwie nie myślano, że każdemu wolno robić co mu się podoba (Machiawel).

16. **Powaga prawa.** Od tego, aby prawo zostało urzeczywistnione, zależy jego powaga czyli jego poszanowanie ze strony obywateli, dobrych lub złych, posłusznych lub opornych. Prawo, które od początku pozostaje martwą literą, już nieżywe na świat przyszło i zostaje złożone do grobu zapomnienia. Urzeczywistnienie prawa jest dwojakie: bezpośrednie i pośrednie. Pierwsze znaczy tyle, co wprowadzenie w życie ustawy lub zwyczaju prawnego. Potrzeba tego urzeczywistnienia dla strzeżenia powagi prawa jest dlań powszechną, — nie cierpi wyjątków. Prawo na to powstało, aby żyło, t. zn. aby życie publiczne w państwie było prawem kierowane. Pośrednie urzeczywistnienie polega na egzekucyi upoważnień prawnych (uprawnień, praw podmiotowych), nabytych na zasadzie prawa obowiązującego (przedmiotowego), publicznych lub prywatnych, — które przypadły państwu (jego władzom) lub tegoż mieszkańcom. Egzekucya bywa dwojaką: karną i cywilną (przeważnie majątkową). Co się tyczy egzekucyi praw (uprawnień), to i ta jest zawsze konieczna, jeżeli się zdarzą jej warunki *in concreto*. Cywilna zależy jeszcze od

tego, ażeby podmiot, mający do niej upoważnienie, o nią się upomniał. Karna egzekucya, łagodzona amnestyą, o tyle potrzebna i z urzędu wskazana, o ile ma zapobiegać szerzeniu się mniemania, gaszącego powagę prawa, że się w państwie zagnieździła uprzywilejowana bezkarność. Ale prawo karżące nie po to zostaje wydane, ażeby było wykonywane. Jest raczej tylko porządku prawnego strażnikiem. Dzień, w którym na gmachu więziennym powiewa biała flaga, jest dniem prawdziwego tryumfu sprawiedliwości karżącej. Jeżeli nadto uwzględnimy, że prawne ukaranie zależy od ścisłego i jasnego dowodu winy, nie zawsze dającego się zestawić, a cywilna egzekucya częstokroć nie da się wykonać, to dojdziemy do wniosku, że przymus prawny zewnętrzny, czyli t. zw. sankcya, nie może być tą właściwością prawa, która je istotnie odróżnia od etyki. Mamy zresztą obowiązki prawne, w ustroju i życiu państwa do najważniejszych należące, które zasadniczo egzekwowane być nie mogą, jak obowiązki panującego, parlamentu, posła. Kościół katolicki, od kiedy mu odjęto pomoc świecką *(bracchium saeculare)*, rządzi się i sądzi prawem, które, z reguły, nie może być egzekwowane. W zakresie prawa rodzinnego, zawierającego o wiele cenniejsze wartości moralne aniżeli prawo majątkowe, są roszczenia i obowiązki, które żadną miarą nie mogą być opatrzone przymusem. Rodzina zaś jest składnikiem społeczności narodowej i państwowej. Z tego wszystkiego wynika, że słuszność jest po stronie tych, którzy twierdzą, że kwestye prawne stają się prostszemi i jaśniejszemi, gdy się z niemi nie łączy faktu egzekucyi (Hauriou). Istota prawa powszechnie w tem się przejawia, że je człowiek uznaje za przełożoną władzę, której należy się posłuszeństwo z obowiązku sumienia (Liszt, Zittelmann). W Warszawie, po ustąpieniu Rosyan aż do okupacyi niemieckiej, od 5. sierpnia do 11. września 1915 r. samozwańcze sądy obywatelskie sądziły, wymierzały kary, zamykały do karceresu, a ludzie słuchali, uznawali wyroki i ściśle się do nich stosowali (Niemojewski). Na pewne, ani egzekucyą, ani kryminałem i katem, nie da się ustalić porządek prawny w państwie, chyba tylko despotyczny, który, prędzej lub później, doprowadza do rewolucyi. Nietyle bez egzekucyi ile bez etyki prawo zamiera, gdyż bez niej tylko siłą despotyzmu stoi, a więc nie ma tej powagi, która go przy życiu utrzymuje. Życiodajnemi jego siłami moralnemi są: sprawiedliwość i słuszność *(justitia, aequitas)*.

17. **Sprawiedliwość i słuszność w prawie.** Wszelkie prawo może liczyć na powodzenie i uznanie, czyli uzyska niezbędną mu powagę, jeżeli jest rozumne (dla rozumnych i rozsądnych), a więc wtedy, gdy dana racya prawna jest trafnie obrana, co w większej lub mniejszej mierze, zależy od sztuki prawodawczej, a zatem od przyrodzonej intuicyi twórczej, i gdy owa racya prawna, w należytem uwzględnieniu zachodzących warunków i okoliczności, jest konsekwentnie rozprowadzona po szczegółowych normach prawnych danej ustawy. Atoli „*summum jus summa injuria*" (przysłowie łacińskie, powołane przez Cycerona w „*De off.*"). Rzymskie prawnictwo uznało, że chociażby zachodziły warunki odpowiedzialności według prawa cywilnego (ścisłego), to częstokroć „*iniquum sit eum judicio condemnari*" (Gajus). Ścisłe prawo logiczne (*jus strictum*) może nie być słusznem (*iniquum*), jak np. pierwotne prawo egzekucyi wierzyciela wzięciem w niewolę dłużnika i sprzedaniem jego osoby, li uwzględniając ściśle konsekwencyę tej okoliczności, że długu nie zaciągnął majątek lecz osoba dłużnika. Egzekucya majątkowa wytworzyła się później, uchylając egzekucyę osobistą po słuszności. Owa słuszność (*aequitas*) jest jedną ze sił moralnych prawa; znaczy tyle co równość; może być pojęta jako popęd, w prawie działający, do wyrównania sprzeczności między wymaganiami racyi prawnej, któreby z nieubłaganą konsekwencyą z niej tryskały, a życiem ludzkiem, etyką kierowanem, boć takie tylko pożycie ludzkie, indywidualne czy zbiorowe, możemy mieć na myśli. Słuszność w prawie jest jednym z filarów budowy równowagi moralnej na fundamencie racyi prawnej. Normy prawne tworzą się przez urzeczywistnienie racyi prawnej w ścisłej i koniecznej zgodzie ze słusznością. Racya prawna, niejako chemicznie, a w każdym razie nietylko mechanicznie, ze słusznością skojarzona, stanowi o tem, co się komu z prawa należy. O tem zaś, ile się komu należy z tego, co mu z racyi prawnej, po słuszności, przypada, rozstrzyga inna siła moralna w prawodawstwie spółdziałająca, którą jest sprawiedliwość (*justitia*). Ona to się stara o równomierny rozdział darów i ciężarów prawa obdzielającego, tudzież o to, ażeby w karżącem prawie odwetowem była zachowana także amnestya, ale po słuszności, nie zaś wskutek protekcyi z tak zwanych względów politycznych lub innych, które są

obce prawnej słuszności. W prawie urzeczywistniona sprawiedliwość nie jest dlań siłą produktywną, jak słuszność, — nie jest też pobudką prawodawczą jak racya prawna, która się z życia wyłoniła, ale jest prawodawstwa miarą i wagą (Lotmar). Sprawiedliwość to drugi filar budowy społecznej, na którym opiera się równowaga tejże, usuwająca w stosunkach prawnych sprzeczności, w niedoskonałem życiu ziemskiem nieuniknione. Ta równowaga, poczucie i przekonanie, że ona w społecznem pożyciu istnieje w stopniu możebnie najwyższym, łagodzi uczucie krzywdy, daje spokój i zadowolenie, a więc posiada rzetelną wartość moralną, gdyż etyki zadniem jest zapewnienie pokoju wewnętrznego, możebnie posuniętego aż do tej doskonałości, że jednostki mają poczucie szczęśliwości. I znowu powracamy do pojęcia prawa p. Koschembar-Łyskowskiego, nie trzymając się niewolniczo wskazanego przezeń szlaku, przez co tylko wyraźniejszą nam się rysuje idea prawa, przezeń odkryta. Należy też pójść dalej za nim, godząc się na to, że sprawiedliwość i słuszność są także sprawami uczucia. Doświadczenie tylekrotnie stwierdziło, że najżyczliwszy rząd obcy, prowadzący wzorową administracyę, nie spełnia swego zadania jak należy i nie ma u ludności pełnego zaufania, bo u jego funkcyonaryuszy brak serca dla tej ludności. Także to od tego autora przyjąć trzeba, że prawo, słuszne a sprawiedliwe, urzeczywistnia „dwie podstawowe zasady, których zastosowania w prawie domaga się etyka społeczna, a mianowicie: 1) możność istnienia jednostki, oczywiście przez własną pracę... i 2) możność rozwoju wszystkich osobistych i zbiorowych zdolności, oczywiście znów przez własną pracę". Ale skoro p. Ł. te postulaty wywodzi z etyki, a na innem miejscu zapewnia, że nie ulega kwestyi, jako na uczucie sprawiedliwości wpływa etyka i że ono jest zależne od poziomu etycznego danego zbiorowiska, to trudno się pogodzić z jego twierdzeniem, że uczucie „sprawiedliwości jest „odrębnem, wrodzonem" nam uczuciem i że nie jest identycznem z etyką". Sprawiedliwość, podobnie jak honor, chyba z tego względu są uczuciami „odrębnemi", że są powszechnemi, bo nawet rosną na niemoralnych ugorach, gdzie żadna cnota nie kiełkuje. One ratują cokolwiek etykę pośród kompanii opryszków i złodziei, pospolitych i politycznych, przy dzieleniu łupów. I właśnie ta wszechobecność tych czynników dowodzi potęgi mo-

ralności, której nawet zbrodnia ulega. Gdybyśmy sprawiedliwości odmówili przymiotów etycznych, toby w prawie, prócz słuszności, nie pozostała żadna inna wartość moralna; sam zaś autor, słusznie i pięknie wywodzi, że usunięcie etyki z prawa musi doprowadzić do mechanicznego pojmowania prawa i życia społecznego. Ale także s ł u s z n o ś c i musielibyśmy odmówić cechy moralnej, bo sprawiedliwość jest takiem jej k o n i e c z n e m uzupełnieniem, że właściwie obydwa te czynniki prawodawcze tworzą taką organiczną całość, iż jedna bez drugiej nie może istnieć. Można je rozdzielić tylko w myśli, na papierze, w celu naukowego ich zbadania.

18. **Polityka prawodawcza.** Z tego, co wyżej powiedziano o powstaniu prawa i jego zadaniach (13), wynika, że stosunek polityki do prawa, naukowo zawsze tak powinien być określony, że prawo ma swoje własne zasady i etykę, że jest panem na swem śmieciu, a zatem nie może być niczyją sługą. Jeżeli zachodzi potrzeba wydania, uchylenia lub zmiany ustawy, to rzeczą jest polityki, a g i t a c y ą lub d y p l o m a c y ą, zniewolić prawodawcę, aby to uczynił w duchu p r a w a, zgodnie z jego racyą, według słuszności i sprawiedliwości, jak je prawo pojmuje. Z chwilą, gdy mechanizm prawodawczy już jest w ruch puszczony, to się zabiegi polityki powinne ograniczyć do czuwania nad tem, ażeby istota prawa w ustawie się odbijała, czysta i nieskalana, jak w dobrem zwierciadle. Taki jednak stosunek polityki do prawa da się pomyśleć i utrzymać jedynie wtedy, jeśli się przyjmie definicyę tejże, poprzednio zaleconą (10), i jeżeli ona będzie także dostosowana do polityki prawodawczej, t. zn. jeżeli jej zadanie zostanie ograczone do wywołania potrzebnej ustawy, modyfikacyi tejże lub uchylenia, ale sam akt prawodawczy będzie wolny od jej wyływów, a to z tej prostej i jasnej przyczyny, że, jak my to już poznali, racye prawne i polityczne są identyczne (10). Konkretne polityczne usiłowanie uzyskania ustawy, ma oczywiście tę samą racyę, która w pożądanej ustawie ma być urzeczywistniona. W polityce prawodawczej nie ma żadnej o s o b n e j racyi politycznej; dla niej tylko odpowiednia istnieje racya, którą życie p r a w n e podyktowało. Jeżeli się zatem, racyę prawną pomijając, szuka za racyą p o l i t y c z n ą, to oczywiście za taką, któraby się z racyą prawną nie pokrywała, ażeby w jej ogniu kuć przepisy prawne, na-

kazane rzekomo względami politycznymi, racyą stanu. I tak np. zamiar wynarodowienia jest przeciwny idei słuszności i sprawiedliwości, a zatem nie może odpowiedniemu prawodawstwu, zmierzającemu do urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia, służyć za racyę prawną, a więc, konsekwentnie myśląc i postępując, podobne ustawy nie powinne nigdy być wydane. Pozbawione racyi prawnej, słusznej a sprawiedliwej, są tylko wytworem siły, na której wyłącznie spoczywa ich powaga bez powagi moralnej. Są tylko „ukrytem nadużyciem prawa, które musi wywołać te same skutki, co jawne nadużycie prawa" (Koschembar-Łyskowski). Pokrywa się zaś to nadużycie racyą polityczną, dobraną do zamiaru prawnie zdrożnego, do czego się czynniki, w państwie miarodajne, bądź otwarcie przyznają albo zasłaniają racyą prawną, rozmyślnie lub z pomyłki na opak stosowaną. Na jakie dwa lub trzy lata przed wojną, powiedziano Polakom: musicie zostać dobrymi Niemcami i Prusakami, a zatem w dubelt się wynarodowić; następnie wydano hasło: wytępić! *(ausrotten)*; — już w czasie wojny, w styczniu 1917 r., minister Loebell odezwał się do Polaków w Sejmie pruskim: „jeżeli chcecie być uczestnikami wszelkich praw obywatelskich, to musicie się czuć jako Niemcy i Prusacy" *(als Deutsche und Preussen fühlen)*; ale kanclerz Bülow był mniej szczerym (i brutalnym), bo szukał za racyą prawną dla ustawy wywłaszczenia i znalazł ją w tem, że niemieckość znajduje się w stanie obrony koniecznej wobec plemienia, które się mnoży jak króliki.

Tylko polityka przewrotna, pomiatająca ideą prawa i przechodząca do porządku dziennego nad jego powagą, niepomna tego, że od zachowania tej powagi byt i przyszłość państwa zależą, składa swe kukułcze jajo do gniazda dostojnej pary: prawa i sprawiedliwości. Prawo, na przekór swej idei i swojej etyce politykujące, jest bękartem zamiaru prawnie potępionego i swawolnej polityki —, obrazą własnego majestatu. Nadużywanie prawodawstwa dla tendencyjnych celów politycznych przynosi też moralne szkody państwu i narodowi panującemu. O ileby skuteczniejszą była polityka niemiecka po manifeście listopadowym, gdyby nie pamięć wiadomych ustaw wyjątkowych!

19. **Odwet prawny i polityczny.** Karzący odwet, prawny, zgodnie z ideą sprawiedliwości, na tem polega, że sądy, od pań-

stwa niezależne, wymierzają kary przystępcom, za winy udowodnione i według tego samego prawa, które zostało obrażone, a więc obowiązującego w chwili popełnionego przestępstwa. Wtedy właściwie nie ludzie kary zadają lecz prawo. Chociażby karanie, dajmy na to za zbrodnie polityczne, było nie wiedzieć jak srogie, to żal za to i oburzenie z czasem gasną, gdy weźmie górę poznanie, że to tylko prawo było stosowane i niczego innego nie można się było spodziewać.

Mamy jednak dwa sposoby załatwienia sprawy bezprawia: ukaraniem przystępcy albo amnestyą. Przyjmując zasadę nietykalności dziedziny prawa, to „*tertium non datur*". Polityka powinna się ograniczyć do działania w ten sposób, ażeby z tych dwóch ewentualności, została wybrana najwłaściwsza, najwięcej zgodna z dobrem narodu, zawsze to mając na względzie, że godziwym jest tylko odwet prawny, który się ogranicza do osoby przystępcy, ale nigdy nie dotyka społeczności i narodu. Jeżeli zaś rząd zapamiętały chwyta się także innego odwetu, który pozwalamy sobie dla tego nazwać politycznym, że jego sprawcy w imię polityki go podejmują, to on się zwala na naród niby chłodna i bezlitosna lawina i za winę jednostek męczy całe społeczeństwo i następne pokolenia; ta pseudopolityka mściwej reakcyi nieraz imponuje i także w nauce zyskuje zwolenników, nawet w wolnej Ameryce, ale wojna światowa i rewolucya rosyjska odsłoniły tejże właściwą istotę; przekonały, że jest urągowiskiem prawu i sprawiedliwości. Społeczeństwo nigdy tu nie jest spółwinne, chociażby nawet było jednej myśli z przestępcą.

Takiem oto jest stanowisko prawa, które sumienna polityka powinna uznać i uszanować. Inaczej prawo dostaje się do niewoli u polityki, depcącej prawo zamiast je podeprzeć, z wszystkiemi zgubnemi następstwami tego jasyru, które moralnie więcej szkodzą prześladowcy aniżeli prześladowanemu, a z czasem sprowadzają taki sam odwet na ciemiężyciela. Jedną z najpiękniejszych kart historyi austryackiej jest ta, na której zapisano zaniechanie odwetu politycznego przeciwko państwu węgierskiemu za rewolucyę r. 1849 (w r. 1867).

20. **Etyka podmiotów prawnych.** Etyka sprawiedliwego spółżycia obywateli jako podmiotów stosunków prawnych, jest bardzo skromna w swoich wymaganiach. Tu się uważa za spra-

wiedliwego osobnika mającego stateczną i ustawiczną wolę przyznawania każdemu tego, co mu z prawa przypada *(perpetua et continua voluntas jus suum cuique tribuere)*, co się ściśle łączy z nieczynieniem nikomu krzywdy *(alterum non laedere)*. Kto się trzyma tych przykazań, o tym sądzi prawo, że żyje uczciwie („*honeste vivere*“ — Ulpianus). Prawo zatem spodziewa się po swoich podmiotach tylko zwykłej, codziennej uczciwości, której bardzo daleko do cnoty. Do tej, niezawodnie także jeszcze zwykłej uczciwości, należą dwie reguły zachowania się, w imię prostej przyzwoitości i po to, ażeby spokojne znoszenie się, rokowania i t. d. były wogóle możebne:

1-o że nikomu nie wolno czynić zarzutu złej wiary *(mala fides)* bez jasnego na nią dowodu;

2-o że nikt nie powinien żalić się na niesprawiedliwość, kto otrzymał to, co mu się należy z umowy. (To jest reguła ogólna; nie tu miejsce do omówienia wyjątków).

Obok zakazu bezzasadnego zarzutu złej wiary, ma ta ostatnia maksyma *(pacta sunt servanda!)* szczególne znaczenie w prawie i wogóle w życiu, publicznem i prywatnem. Bez owego zakazu, spokojne i przyzwoite spółżycie, obrót i transakcye, byłyby niemożebne. Umowa zaś jest najpewniejszą regulatorką ziemskiej sprawiedliwości. O bezwzględnej sprawiedliwości na tym świecie, w szarem życiu ziemskiem, nawet marzyć nie wolno. Najpewniejszą jej miarą jest zgodna wola stron obydwóch; trzeba się zadowolnić sprawiedliwością kompromisową i do niej dążyć przy każdej sposobności. Ona też jest zalecona w Piśmie św. i tam wyłożona w sposób przedziwnie jasny (w Ewangelii św. Łukasza, w r. 8.). Właściciel winnicy kazał wypłacić po groszu tym robotnikom, którzy cały dzień u niego pracowali i „nieśli ciężar dnia i upalenia“, dla tego, że się o taką płacę z nim umówili. Ale zarówno kazał tyle wypłacić innym robotnikom, którzy później przychodzili, a nawet tym, którzy tylko przez jedną godzinę pracowali, nie mając z nimi żadnego układu co do wynagrodzenia. A gdy się jeden z tamtych skarżył, że mu się stała krzywda, otrzymał taką odprawę: „a zaś się ze mną za grosz nie zmówił? Weźmij co twego jest, a idź... Czyli oko twoje złośliwe jest, iżem ja dobry?“

Nie mogąc tej sprawy, w nauce mało przygotowanej, ze względu na ramy niniejszego szkicu, ani w części wyczerpać,

niech wystarczy jeszcze to, że ze względu na rozmaite stosunki i procedery prawne, nawet w życiu potocznem, mówi się o rozmaitych rodzajach uczciwości prawnej, zawsze tak jasnej i prostej, że je każdy rozumie, kto z prawem ma do czynienia. I tak mówi się o uczciwości (moralności) podatkowej *(Steuermoral)*, o moralności wyborczej, przepisanej w ustawie o czystych wyborach, o pieniactwie i swawoli w procesie i t. d.

A. Bálasits.

Notatki.

Przed kilku dniami pojawiła się w pismach krakowskich odezwa, oznajmiająca, że trzy stronnictwa: Demokratyczno-Narodowe, Polskie Stronnictwo Ludowe i nowo powstałe „Zjednoczenie Narodowe“ utworzyły wspólną organizacyę polityczną, tak zw. „Związek Międzypartyjny“. Nazwa ta przypomina warszawskie „Międzypartyjne Koło Polityczne“ i między temi organizacyami istnieje nietylko wspólność nazwy i podobieństwo organizacyi, istnieje wspólność celów i dążeń politycznych. Wzajemne zbliżenie, które nastąpiło w ostatnich czasach między Królestwem Polskiem i Galicyą, wywołało potrzebę wytworzenia instytucyi, któraby dzisiaj ułatwiała porozumiewanie się, a równocześnie przygotowywała jednolitość życia politycznego zjednoczonej Polski. Przyjdzie czas, gdy znikną galicyjskie, warszawskie, górnośląskie lub wielkopolskie stronnictwa, a ich miejsce zajmą potężne organizacye, które już swobodnie obejmą całą polską ziemię. Nadejście tej chwili przygotowują zewnętrzne wypadki wojenne. Ale trzeba również, byśmy i wewnętrznie na nią byli przygotowani. To też żywą radością należy powitać fakt, że powstają w Galicyi zrzeszenia polityczne, których organizacya, a co ważniejsze i treść duchowa podobna jest do ugrupowań wytworzonych w Królestwie. Był czas, kiedy w Galicyi wzory partyjnej organizacyi brano z Wiednia, czasami nawet z obcego języka tłómaczono dla nich programy. Dzisiaj znaleźliśmy już bliższe nam wzory.

Coprawda na pierwszy rzut oka w innych warunkach działa Międzypartyjne Koło Polityczne w Warszawie, a w innych znajduje się życie polityczne w Galicyi. W Warszawie, skutkiem okupacyi niemieckiej, musiało się wytworzyć nowe przedstawicielstwo stronnictw politycznych w Królestwie, a w Galicyi reprezentuje

nas przecież nieprzerwanie Koło Polskie w parlamencie wiedeńskim. Ale ta różnica pozornie tylko jest wielką. Koło Polskie w Wiedniu, wybrane w sławnych wyborach 1911 r., w ogromnej większości złożone z ludzi dobranych tak, by nie mieli oni własnego zdania, nie może ująć w swoje ręce steru polityki narodowej w obecnej dobie, wymagającej od polskich polityków szerszego horyzontu, aniżeli ten, który ma przed sobą przeciętny poseł wiedeński. Przez długi czas Koło Polskie było bezczynnem lub czynnem w drobiazgach. W zakresie ogólnej polityki poprzestawało na mniej lub więcej wyraźnem aprobowaniu tego, co działał N. K. N. Nastał przewrót z końcem maja 1917. Przedstawicielstwo polskie w Krakowie uchwaliło prawdziwie polską rezolucyę, oświadczającą się za zjednoczoną Polską z dostępem do morza. Nastąpił zasadniczy przewrót w kierunku naszej polityki w Galicyi. Ale pokazało się niebawem, że Koło Polskie nie umie wejść z całą siłą na nową drogę. W obradach parlamentu nie zawsze przedstawiciele Koła umieli zająć odpowiednie stanowisko. Dziwnym biegiem okoliczności najwyraźniej rezolucye uchwalone w Krakowie przez Koło Polskie, wypowiedział w Radzie państwa poseł, który nie należy do Koła Polskiego. Z różnych stron zjawiły się próby, by wbrew raz zajętemu stanowisku, przeinaczyć względnie utrzymać na dawnej drodze kierunek polityki Koła. W gorszący sposób zachowały się w ogromnej większości żywioły konserwatywne. Wyrosły one na zasadzie solidarności Koła i przez długie lata nawet wyzyskiwały ją bezwzględnie; dzisiaj zaś mają odwagę, by tę zasadę naruszać, by jawnie i niejawnie dezawuować uchwaloną rezolucyę, a różne ekscellencye w Izbie Panów wprost nazywają błędnem postępowanie Koła. Podobnie zachowują się niektórzy przedstawiciele lewicy. Poseł Daszyński wygłasza bardzo opozycyjne mowy, a równocześnie redukuje do karykaturalnych kształtów hasło dostępu do morza, uzyskując za swe umiarkowanie słowa uznanie od polityków Rzeszy niemieckiej.

Wiedzieliśmy odrazu, że ogromna większość polskich przedstawicieli nie przejmie się szczerze duchem uchwał krakowskich. Wyrośli oni w innej szkole, a na starość trudno się uczyć. To też odrazu żywą była potrzeba, by powstało przedstawicielstwo, będące bezpośrednim wyrazem tego wysokiego poziomu dążeń narodowych, na który wzniosła się obecnie opinia publiczna w Galicyi. Potrzeba jest organu, któryby czuwał nad czystością linii

politycznej, któryby rozumiał żywo, czego pragną inne dzielnice Polski i nawzajem był przez nie rozumiany. Natomiast od Koła Polskiego w Wiedniu opinia polska nie spodziewa się i nie pragnie wiele. Pragnie tylko, by Koło nie sprzeniewierzało się swoim uchwałom, by umiało opanować dawne nałogi.

Związek Międzypartyjny będzie miał do spełnienia bardzo wielkie i ciężkie zadanie. Atmosfera polityczna w Galicyi przeczyszcza się zwolna, ale dzisiaj jeszcze krąży w niej wiele zatrutych pierwiastków, które niewidoczne dla oka przelotnego obserwatora, starają się nawrócić politykę polską z prawdziwie polskiej drogi. Związek Międzypartyjny rozporządza wielką siłą i może mieć za sobą całą niemal opinię publiczną w Galicyi. Winien z tego skorzystać, winien wyznać ją w sposób śmiały, bezwzględny, wolny od oportunizmu dzielnicowego. Nowe czasy wymagają nowych metod politycznych, każą podeptać zasady taktyczne, ustalone długoletnią praktykę.

Związek Międzypartyjny powstał na drodze porozumienia stronnictw politycznych. Ale nie trzeba widzieć w nim jakiegoś bloku czy antibloku, któryby dążył do uzyskania tak zw. „władzy“ w kraju. Powstał on dla większych celów, dla podporządkowania spraw dzielnicowych i partyjnych wymaganiom ogólno-narodowej polityki. To też wewnętrzne życie tego Związku musi być oparte na innych zasadach, niż zwyczajne współżycie stronnictw, w którem tak wielką gra rolę obawa o wpływy i stronniczy stan posiadania. A zresztą dzisiejsza organizacya stronnictw nie we wszystkiem odpowiada nowym zadaniom. Wojna wydobyła wiele sił społecznych, które nie znalazły jeszcze organizacyjnego wyrazu. To też w tym Związku widzieć trzeba nie sumę sił zgrupowanych w nim stronnictw, lecz prócz nich, całą masę żywiołów wyznających szeroki, nieskażony kompromisem program ogólnonarodowej polityki.

Te wszystkie, do niedawna jeszcze drzemiące siły pobudzić do czynnego życia — to jedno z głównych zadań Związku. Niewiadomo, jakie przewroty nas czekają. Musimy wobec nich stanąć zorganizowani, świadomi swej siły, umiejący kierować naszym własnym losem. Tego celu nie spełni zamknięta w sobie grupka ludzi, choćby to były najtęższe głowy i najszczersze serca. Dzisiaj skutecznie działać może tylko organizacya, która ma trwałe podstawy u dołu, która naprawdę wyraża opinię kraju. To też miejmy na-

dzieję, że „Związek Międzypartyjny" nie pozostanie tylko firmą, etykietą bez treści, lecz że uruchomi wielką masę energii narodowej. W pracy nad tym celem winni wziąść udział wszyscy, złączeni wspólną jasną ideą, bez wahań i uprzedzeń.

*
* *

Państwa koalicyi starają się o utworzenie armii polskiej, któraby stanęła po ich stronie. W tym celu wydzielają Polaków, objętych ich armiami obecnie w osobne formacye. Z punktu widzenia wojskowego takie postąpienie przysparza państwom koalicyjnym wiele korzyści, gdyż pomnaża i wzmacnia bitność żołnierza, pobudza go do walki, do której czasem braknie mu ochoty pod obcą komendą i sztandarem. Otóż cała ta kwestya wywołała żywą dyskusyę w prasie polskiej i wśród stronnictw polskich. Przeciwko tworzeniu polskiej armii zjawiają się argumenty dobrze znane z przed półtrzecia roku. Ale inni już ludzie je głoszą. Komunikat, streszczający stanowisko pewnej grupki Polaków we Francyi, rozesłany i reklamowany przez Polskie Biuro Prasowe w Bernie (utrzymywane przez N. K. N.), występuje za... neutralnością Polaków w obecnej wojnie. Czytamy tam wywód, przemawiający przeciw organizowaniu armii po tamtej stronie frontu z obawy przed represyami, które ten fakt może wywołać w Królestwie. W *„Wiadomościach Polskich"* zjawiają się artykuły, występujące przeciw szafowaniu polską krwią, a jeden z autorów tam piszących używa zniesławionego określenia: „Neutralista", jako swojego pseudonimu.

Wszystkie te żywioły występują przeciw polskim formacyom wojskowym po tamtej stronie frontu. Nie jest to coś dziwnego, przeciwnie, wypełniają one tylko swój obowiązek. Jest to bardzo logiczne, że jeżeli ktoś stanął po jednej stronie, występuje przeciw jakiemukolwiek wzmocnieniu strony przeciwnej. Ale niekonsekwencya występuje w argumentach tej grupy politycznej. W tej chwili na żywiołach t. zw. „niepodległościowych i N. K. N.-owych" mści się ich taktyka, ich sposób agitacyi, prowadzonej przez dwa lata. Wzywali oni do wystąpienia w sposób czynny w obecnej wojnie. Ale zamiast uzasadniać to stanowisko wyłącznie argumentami politycznymi, wykazywać, że tworzenia legionów po stronie państw centralnych wymaga nasz interes narodowy — rzucono

cały szereg argumentów, jak się pokazuje, obosiecznych. Według nich trzeba było tworzyć wojsko polskie, byle tylko to wojsko istniało, mniejsza o to, w jakich warunkach i po czyjej stronie. Nasza godność narodowa wymagała wystąpienia czynnego, walki pod własnymi sztandarami. Chodzić miało o to, by świat się dowiedział o Polsce, by można było o niej mówić; a w chwili dzisiejszej ten, kto krwi nie przelewa, za nic się nie liczy. Należało zdaniem tych żywiołów podnieść ducha żołnierskiego w zmateryalizowanem i zniewieściałem społeczeństwie. Wreszcie ich zdaniem kongres pokojowy, bez względu na to, kto na nim będzie rozstrzygał, będzie się ze sprawą polską liczył tylko wtedy, gdy w czasie jego obrad stanie na straży polskich praw wojsko polskie.

Dzisiaj te argumenty zwracają się przeciw tym, którzy mogą sobie rościć pretensyę do ich autorstwa politycznego. Nic dziwnego, że wprawiają ich w zakłopotanie. Jeżeli ktoś udowadniał, że należy tam gdzie się tylko da, tworzyć wojsko polskie, trudno mu zająć inne stanowisko, gdy dla tworzenia tego wojska otwierają się bardzo szerokie możliwości. Ale wielu ludzi nie objawia zbytniego przywiązania do głoszonych przez siebie zapatrywań, choćby niedawno w ich imię odsądzało się innych od czci i wiary. W razie potrzeby najzawziętsi aktywiści przeobrażają się w pasywistów. Nie szanując zdania własnego, nie mogą szanować opinii publicznej, która jednak nie zawsze odznacza się krótką pamięcią.

* * *

Nie wiemy jeszcze, co wyniknie z kongresu w Sztokholmie, który przez prasę liberalną niemiecką był i jest niesłychanie reklamowany. Coraz częściej spotyka się co prawda głosy krytyki i rozczarowania. Dla nas kongres ten zapewne nie będzie miał decydującego znaczenia. Tembardziej wolno nam jednak, jako stojącym na uboczu, podkreślić pewne charakterystyczne jego cechy.

Słyszymy np., że rząd amerykański odmówił delegatom na kongres paszportów. Mimo to trzech Amerykanów przybyło. Skąd, nie wiemy; czytaliśmy przeciwko nim głosy protestu z Ameryki, z drugiej strony jednak podniesiono, że mają zupełnie formalne pełnomocnictwa. Każdy z nich reprezentował rzekomo jedną partyę socyalistyczną amerykańską. Nazwiska tych towarzyszy amerykańskich? Goldfarb, Reinstein i Dawidowitsch. Być może, że są

to właśnie amerykańskie wielkości partyjne. Wszelako każdy Polak przyzna, że brzmi w tych nazwiskach dla nas jakaś znana, swojska nuta...

„Amerykanie“ ci spotkali się w Sztokholmie z jaskółką pokoju, wypuszczoną przez Radę żołniersko-robotniczą. Rosyaninem tym był — tow. Julian Weinberg. Później przyjechali jeszcze z Piotrogrodu towarzysze: Golberger, Rosenow i Smirnow. Dajmy pokój p. Smirnowowi, nie badajmy językowo p. Rosenowa czy Rozanowa, ale Goldberger — to też coś znajomego...

A z Galicyi pojechał do Sztokholmu tow. Dr. Diamand. Nie wiemy, jak tam porozumiewał się z komitetem holendersko-skandynawskim, ale z socyalistami amerykańskimi i rosyjskimi porozumienie było zapewne nietrudne.

Niewiele wiemy, kim jest tow. Grimm, który w Petersburgu „robił w pokoju“ z ramienia, powiedzmy, Szwajcaryi. Wiemy tylko, że wiedeńska *Presse* pasowała go na rycerza, nazywając go „szwajcarskim pułkownikiem“ ku pośmiewisku prasy szwajcarskiej. Wiemy o nim, że należy do tak zw. kierunku zimmerwaldzkiego, który wydaje w Bernie radykalno-socyalistyczną „*Berner Tagwacht*“. Głównym redaktorem tego pacyfistycznego pisma jest przyjaciel „bohaterki“ niemieckiej Róży Luxemburg, tow. Radek. Znów swojska nuta, zwłaszcza, że pamiętamy jeszcze tow. Radka, kiedy jako student uniwersytetu krakowskiego nazywał się po prostu Zobelsohn. Wtedy zapewne czytał Żeromskiego „Syzyfowe prace“, skąd geneza pseudonimu.

Sama zaś p. Róża Luxemburg właśnie opuszcza niemieckie więzienie, by przybyć do Sztokholmu, gdzie — jak donoszą dzienniki — obecność jej okazała się niezbędną ze względu na konferencye z socyalistami polskimi!

Jak widzimy, nie brak w całej sprawie sztokholmskiej wielu, bardzo wielu swojskich, zgoła galicyjskich elementów. Nic dziwnego, że „*Naprzód*“ krakowski oraz „*Gazeta Wieczorna*“ interesują się konferencyą niezmiernie żywo. *m.*

*
* *

W numerze z dnia 19. czerwca b. r. ukazała się w „*Neues Wiener Journal*“ krótka charakterystyka nowo mianowanego członka austryackiej Izby Panów, Polaka, podpisana literami C. D. Dzien-

nikarz wiedeński opisuje w niej osobę Jerzego hr. Mycielskiego i podkreśla wszystkie ujawnione w trzech ostatnich latach jego przymioty: uczynność, pracowitość w organizowaniu wystaw, przysłowiową punktualność i cenione zalety towarzyskie. Obok szczegółów stwierdzających, że ten profesor historyi sztuki krakowskiego Uniwersytetu nigdy właściwie nie był uczonym w znaczeniu abstrakcyjnego zasklepienia się w teoretycznej wiedzy, a dla uczniów okazywał się zawsze raczej przyjacielem i doradcą —, obok interesujących wspomnień o stosunku, jaki łączył hr. Mycielskiego z Arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem (który też zapisał mu w testamencie własny uniform, buty i czako), znajdujemy klasyczną wprost skrupulatność natury patryotyczno-geograficznej. Autor sylwetki uważa oto za stosowne w ten sposób wyrazić się o nowym parze: Duchowi czasu „dał się porwać i rozpłomienić, a najserdeczniejszą jego troską, celem jego niezmordowanej, młodzieńczem zapamiętaniem się nacechowanej żarliwości, to dobro jego ojczyzny: Galicyi i Polski“ *(sic!)*. Ścisłość w rozgraniczeniu nomenklatur nie wygląda chyba na przypadkową i sądzić można, że w głowie czytelnika w jakimś Cafehausie wiedeńskim napotyka na dobre i lekkostrawne przyjęcie.

Ale jakże się dziwić dowcipowi politycznemu wiedeńskiego żurnalisty czy efektowi, jaki wywiera jego styl w umyśle Wiedeńczyka, kiedy i w stolicy Polski można dziś czytać czarne na białem, że nasz majątek narodowy ogranicza się do majątku posiadanego wyłącznie na terytoryum Królestwa Kongresowego. Tak przynajmniej ujmuje rzecz ze stanowiska „wolności bezwzględnej, zespolenia wszystkich sił narodowych i wyjarzmienia twórczości narodu“ p. St. A. K. (Kempner) w wydawanej w Warszawie w polskim języku *Nowej Gazecie*, omawiając artykuł p. M. Niedziałkowskiego, jaki się ukazał na ten sam temat w warszawskiej również *Myśli Polskiej*. Ponieważ z zestawień p. Niedziałkowskiego wynikało, że w r. 1912 majątek Królestwa wynosił 9 miliardów rubli, co czyniło 19½ miliardów marek, a w tym samym czasie Niemcy posiadały 325 miliardów marek, więc, konkluduje z urzędowo logicznem namaszczeniem p. St. A. Kempner, „każdy przeciętny obywatel niemiecki był przeszło trzy razy bogatszy od obywatela Polaka“. Zasada *pars pro toto* spełniła tu, jak widzimy, znakomitą usługę dyplomatyczną zwolennikowi „wyjarzmionej twórczości narodu“. Obywateli Polaków poza Królestwem Kongreso-

wem p. Kempner nie zna. — Że zaś styl i ton warszawskiego organu inteligencyi żydowskiej przystaje widocznie dość szczelnie do gustu propagatorów nowej myśli politycznej w zaborze pruskim, więc przedruk tych wyższym polotem tchnących uwag, pomieszcza poznańska *Gazeta Narodowa*, nie czując potrzeby dodania od siebie ani jednego zbytecznego słowa. Dlaczego jednak *Gazeta Narodowa,* gdy ukazuje się już na tak wstydliwym dla głębszych idei gruncie, nie uznała za stosowne opatrzeć przedruku innym, mniej rażącym politycznie tytułem? Przecież na łamach jej ów tytuł: N a s z m a j ą t e k n a r o d o w y w zestawieniu z tematem, tyczącym się tylko Królestwa, brzmi dość niekonsekwentnie. Ale połóżmy to na karb przyzwyczajenia, tembardziej, że nowy organ poznański przyzwyczaił się wcale często zapełniać swoje szpalty treścią *Nowej Gazety.*

Mniejsza zresztą o upodobania i szczegóły tego rodzaju. Niejednokrotnie już w czasie wojny przypominano prasie, iż używaniem sztucznej terminologii w odniesieniu do składowych części Polski utrwala tylko błędne pojęcia obcych i własnego społeczeństwa. Z jakiej mianowicie przyczyny pisma wydawane w polskim języku dziś jeszcze używają oznaczeń Kongresu wiedeńskiego, ograniczając Polskę do wykrojonego wówczas terytoryum, trudno zaiste wyrozumieć. Trudniej przecież jeszcze żądać od obcych, aby nie karykaturowali pojęć o Polsce, skoro mogliby się z rezultatem powołać na sankcyonowanie owych ograniczeń ze strony prasy, która mniej lub więcej, ale językowo w każdym razie do polskiej się zalicza.

Sprawozdania.

Oświęcimskie niemieckie czy też Cieszyńskie polskie? Dr. Feliks Koneczny, Kraków 1917, nakładem komitetu pięciu miast b. księstw Oświęcimskiego i Zatorskiego.

Dyskusya na temat włączenia kilku zachodnich powiatów Galicyi do obszaru Śląska, zainicyonowana w czasie wojny przez niemieckich posłów Białej i Bielska w znanym memoryale, złożonym ongiś gen. Collardowi, ciągnie się dalej i przybiera coraz poważniejsze rozmiary. Wobec silnej agitacyi niemieckiej, która wbrew teoretycznie panującym zasadom „*Burgfriedenu*“ umiała przeprowadzać myślowe choćby aneksye, społeczeństwo polskie zagrożonych obszarów zrozumiało, że potrzebna jest wspólna, zorganizowana akcya obronna. W tym też celu powstał t. zw. Komitet pięciu miast (Andrychów, Kęty, Wadowice, Zator i Żywiec), któremu powierzono sprawę. Staraniem jego ukazała się obecnie wyżej wymieniona polemiczna broszura Dr. Feliksa Konecznego, przeznaczona dla spopularyzowania znajomości pretensyi niemieckich w społeczeństwie polskiem, w równoczesnem zaś wydaniu niemieckiem przeznaczona i dla strony drugiej, jako odprawa na objawione apetyty.

Treść broszury Dr. Konecznego obraca się głównie około artykułu Dr. Gerharda Seeligera, profesora historyi w uniwersytecie lipskim, jaki ukazał się w listopadzie 1916 r. w czasopiśmie „*Petermanns Mitteilungen*“ p. t. *Das Deutschtum in den Westbeskiden und die Herzogtümer Auschwitz* (Oświęcim) *und Zator.* Niemiecki historyk udowadnia mianowicie, że księstwa oświęcimskie i zatorskie złączone były niegdyś pod wspólnem książęciem z księstwem cieszyńskiem, które było lennem korony czeskiej, Czechy znów tworzyły część Rzeszy niemieckiej — a zatem w imię praw czeskiej korony, oświęcimskie i zatorskie... mogą Niemcy rewindykować. Oto główny sens wywodów lipskiego profesora. W żywym i ciętym wywodzie rozprawia się Dr. Koneczny ze zgłoszoną w tej osobliwej formie pretensyą spadkową, wynajdując w całym arsenale ofenzywno-dowodowym Dr. Seeligera obok braku życiowych podstaw i szereg luk historycznej natury. Logikę niemieckiego legitymizmu można według niego ująć w następujące rozumowanie: „Co raz przynależało do jakiejś państwowości niemieckiej, chociażby pośrednio przez pośrednictwo innej, nigdy już nie może przestać stanowić przyna-

leżności tego rodzaju. A gdy niema odpowiedniego ustroju państwowego [1]), przynależność taka obowiązana jest przeczekać takie czasy w oczekiwaniu następnej niemieckiej formacyi państwowej, bo należy raz na zawsze, aż do końca świata do Niemiec, nawet wtenczas kiedy Niemiec niema". Posługując się podobną argumentacyą możnaby także logicznie wywieść, że Wiedeń np. należy prawnie do Buchary. „Niegdyś Temudżin, mongolski dżingishan, podbił był Węgry, a potem król węgierski, Maciej Korwin, zdobył Wiedeń, a zatem na zasadzie reunionów należy on do Węgier, a przez Węgry do dżingishanatu, za którego następców uważają się emirowie Buchary". Wykazawszy długim szeregiem dowodów historycznych, jak chwiejne są rewindykacyjno-prawnicze podstawy uroszczeń niemieckich, i przedstawiając w materyale naukowym z przeszłości i teraźniejszości żywe prawa Polski do terytoryum księstwa cieszyńskiego, charakter napływowej niemczyzny, jaka tu zawitała w ciągu wieków i dzieje germanizacyi polskich kresów, przechodzi autor pokrótce w bardzo interesującem zestawieniu historyę sposobów, jakiemi odrywano od Polski rodzime jej krainy śląskie, jak wreszcie już w XIX. wieku oderwano od dyecezyi krakowskiej dwa aż do r. 1821 podległe jej zwierzchności kościelnej dekanaty, bytomski i pszczyński.

Poza bezpośrednią polemiką z feudalnym legitymizmem lipskiego historyka, rozprawia się Dr. Koneczny z pokutującym w wielu głowach (nawet i polskich, jak to mieliśmy sposobność w czasie wojny niestety się przekonać) przesądem, że Kazimierz Wielki w układach swoich z czesko-niemieckimi Luksemburczykami „zrzekł się Śląska". Treść owego „zrzeczenia" zachowały dokumenty, trenczyński z r. 1335 i krakowski z r. 1339. Stwierdzają one, iż przedewszystkiem nie chodziło tu bynajmniej o Śląsk cały, tylko o pewne księstwa, powtóre, że z wyjątkiem Wrocławskiego i Głogowskiego, których tyczyło się rzeczywiste zrzeczenie, Kazimierz Wielki zrzekał się praw lenniczych nad czterema książętami śląskiemi na czas ich życia, ale nie nad ich dziedzicami. Luksemburczycy zyskiwali zaś nad nimi prawa zwierzchnicze w tem samem osobistem rozumieniu i to nie na rzecz czeskiej korony, a na rzecz własną, t. j. domu Luksemburskiego.

Kończąc wędrówkę pośród pomników przeszłości i stwierdzając historyczność praw Polski do Cieszyńskiego, dodaje Dr. Koneczny wyjaśnienia statystyczne doby ostatniej. Znalazła przytem miejsce charakterystyka rządów w Cieszyńskiem ze swojemi spisami ludności, polityką szkolną, sądową, administracyjną i całym sztucznym aparatem rządzenia polskim krajem, który się pragnie uszczęśliwić zapomocą *„allein seligmachender Sprache"*, przy zaokrągleniu wschodnich granic.

Broszura Dr. Konecznego, wydana w celu agitacyjnym, spotkać się winna z dobrem przyjęciem i poparciem ze strony społeczeństwa i przyznać trzeba, że „Komitet pięciu miast" słusznie przywiązuje dużą wagę do popularyzowaeia w ten sposób sprawy.

Jedna tylko nasuwa się uwaga: ujmując rzecz całą na tle wypadków wojennych, zamierzonych reform wewnętrzno-austryackich i programu polskiego, przyjętego przez Koło sejmowe w dniu 28. maja b. r., polemizuje autor z całym nacyonalistycznym obozem niemieckim i stara się go nakłonić do przyjęcia bardzo szerokich zasad dość romantycznie pomyślanej przyszłej Europy. Nie można wprawdzie mieć nic przeciw temu, gdy ktoś tak lub inaczej wyobraża sobie powojenną

[1]) Chodzi o fakt nieistnienia wogóle państwowości niemieckiej jako takiej w czasie między r. 1866-ym a 1871-ym.

sielankę, ale właśnie dlatego, że formy przyszłości są jeszcze dla oka naszego płynne, nie należy może samych wyobrażeń łączyć z tak żywym i dotykalnym przedmiotem, który autor w głównym zakresie z pełnem omówił powodzeniem.

K.

* * *

Dr. Marcin Nadobnik, *Stan koni, bydła rogatego i trzody chlewnej w Galicyi w styczniu 1916 r.* Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, t. XXV. Zeszyt III.

W wydanej obecnie publikacyi zawarte są bardzo aktualne i ciekawe cyfry statystyczne, które w dzisiejszych warunkach społecznych i gospodarczych zainteresują nietylko specyalnych badaczy rolników i ekonomistów. Szerszym kołom czytelników ułatwi korzystanie z tych zestawień ta okoliczność, że tablice statystyczne poprzedzają gruntowne uwagi o ich zawartości, opracowane z wielką sumienością i wszechstronnością.

Cytowany obecnie materyał rozprasza legendy o pomyślnym rzekomo stanie gospodarstw chłopskich, które miały pomnożyć swój inwentarz dzięki wojnie. Może tak jest w innych krajach, ale nie jest tak w Galicyi. Coprawda obecne cyfry, jakkolwiek zbierane drogą urzędową, mogą okazać się tu i ówdzie niedokładnemi, lecz zasadniczy obraz jest niewątpliwie prawdziwy. I widzimy na podstawie tych materyałów ogromne zniszczenie inwentarza żywego w gospodarstwach wiejskich w Galicyi. W porównaniu z r. 1910 w Galicyi, prócz powiatów, objętych w chwili sporządzenia spisu przez okupacyę rosyjską, największą redukcyę wykazuje stan trzody chlewnej, bo o 63·2%, w porównaniu z stanem przedwojennym; liczba koni zmniejszyła się o 40·6%, bydła rogatego o 31·3%. Straty są tem większe, im dalej posuwamy się ku wschodowi; a zagęszczają się one szczególnie w okolicach, w których toczyły się bardziej zaciekłe działania wojenne. W Galicyi zachodniej (w obszarze krakowskiego Towarzystwa rolniczego) wyjątkiem jest po powiatach ubytek niższy od przeciętnego, natomiast na wschodzie jest on regułą.

Szczegółowe i umiejętne zestawienia Dr. Nadobnika uwydatniają rozmiary zniszczenia wojennego, które spadło na wiele części kraju. Największe rozmiary przybrało ono w okolicy Przemyśla, a także w obszarach, położonych nad rzekami Sanem i Bugiem, na których się opierała linia bojowa.

Osobny rozdział poświęcono specyalnemu przedstawieniu stanu inwentarza żywego na obszarach dworskich. Tablica, poświęcona temu tematowi, uwydatnia kolosalną redukcyę ilości koni, bydła rogatego i trzody chlewnej w tej kategoryi gospodarstw. Została tylko piąta część bydła rogatego i trzody chlewnej, koni jedna trzecia!

Straty rolnictwa galicyjskiego w tej dziedzinie występują jeszcze jaskrawiej, jeżeli zwróci się uwagę na stosunki hodowlane, do których materyału dostarczają tablice. Albowiem ogólna statystyka ilości dałaby obraz pozornie pomyślniejszy, gdyż nie bierze ona pod uwagę wieku zwierząt. Widzimy tutaj największe zniszczenie sztuk starszych, nadających się do komsumcyi, o ile chodz o trzodę chlewną i bydło rogate. A pamiętajmy przy tych zestawieniach, że wojna przyniosła z sobą także ogromne obniżenie jakości inwentarza żywego, zrujnowała hodowlę, spędziła na wieś wiele sztuk lichych, nie nadających się do in-

nych użytków (n. p. koni), zniszczyła wiele obór zarodowych i wzorowych gospodarstw. Przedstawia się naszym oczom stan bardzo fatalny, którego naprawa będzie jednym z najtrudniejszych zadań odbudowy kraju. Wydane obecnie materyały oddadzą niewątpliwie bardzo doniosłe usługi, jako podstawa planowej akcyi gospodarczej.

* * *

My Adventures as a Spy, *Meine Abenteuer als Spion*, von Generalleutnant Sir Robert Baden-Powell, K. C. B. [1]) — übersetzt von Reinhold Anton, mit Genehmigung des Generalkommandos des XIX. Armeekorps — Leipzig 1915.

Generał angielski, Sir Robert Baden-Powell, główny twórca organizacyi młodzieży angielskiej, znanej pod nazwą skautingu, wydał w początkach wojny światowej książkę p. t. Moje przygody szpiegowskie. Dziś zwłaszcza, gdy codzień prawie czytamy o jakimś czynnym wystąpie Anglików, jako kontrolorów polityki i dyplomacyi europejskiej, dobrze jest zwrócić uwagę na publikacyę, którą z wielką szczerością i dumą narodową pisana, nie przesadza zapewne, przypisując szpiegostwu ogromne znaczenie w stosunkach międzypaństwowych. Jest zaś ciekawą i ważną nietylko, że wyszła z pod pióra wysokiego oficera jednego z walczących mocarstw, ale i dla specyalnej charakterystyki zawodu, który mimo całej jego doniosłości, nosi przecież na sobie piętno odrazy. Szpieg, samo to słowo brzmi dla nas niesmacznie, a dla fachowca tego rodzaju odczuwamy instynktownie bardzo mierny szacunek. Tymczasem generał angielski staje przed nami z wyznaniem, że sam trudnił się zawodowo szpiegostwem i że to mu ujmy wcale nie przynosi. Rozumuje zaś tak. To nieprawda, że szpieg musi być zwykłem, zasługującem na wzgardę indywiduum. O ileż częściej jest to człowiek dzielny i odważny. Na poparcie powyższego znajduje wiele mówiący przykład z dziejów walki z Anglikami o niepodległość Ameryki Północnej. Adjutant angielskiego generała Clintona, major André, schwytany w cywilnem przebraniu między liniami nieprzyjacielskiemi, został stracony przez Amerykanów jako szpieg. Przybrana ojczyzna (André był z pochodzenia Szwajcarem) inaczej go oceniła, wynagradzając jego rodzinę i składając jego ciało w opactwie westminsterskiem. André nie był bowiem w pojęciu angielskiem zwykłym szpiegiem, lecz wywiadowcą-żołnierzem.

Mamy więc różne rodzaje szpiegostwa, mamy ajentów dyplomatycznych i strategicznych, osobnych dla armii i floty, wreszcie wojennych szpiegów polowych w znaczeniu najczęściej znanem. Jeden tylko typ zasługuje na bezwzględne potępienie: to szpieg-zdrajca, sprzedający wrogowi dla zysku tajemnice swojej ojczyzny, narodu.

Charakterystyce szpiegostwa niemieckiego poświęca autor wiele miejsca, krasząc ją wielu arcyciekawymi szczegółami. Naogół jednak, choć do schwytanych na uczynku agentów niemieckich nie czuje żalu czy też pogardy, wyraża się o nich zazwyczaj z dużą dozą politowania. Nie uważa ich za dość inteligentnych, owszem przebija u niego chęć traktowania ich jako reprezentantów pewnej psychiki i kultury, które dla syna Albionu wydają się czemś słabem i mizernem w porównaniu ze świetną, naturalnie dla niego, umysłowością angielską. Wogóle

---

[1]) *Knight Commander of the Bath.*

i na tem polu przedstawiają mu się Niemcy jako gatunek wprawdzie bardzo pracowity i zapobiegliwy, ale mało utalentowany. Odmawia im przedewszystkiem znajomości psychologii obcych narodowości, dzięki czemu przedsięwzięcia niemieckie o charakterze polityczno-wywiadowczym kończą się zazwyczaj fiaskiem. Na dowód przytacza szereg pomyłek, jakie były udziałem Niemców tak przy ocenie społeczeństwa angielskiego, jak i zawodów rachuby na wywołanie ruchów ludowych w czasie obecnej wojny w Egipcie i Transwaalu. Tak samo i niemiecki plan inwazyi z zamiarem opanowania i zniszczenia najbardziej przemysłowej części Anglii spełzł na niczem. Fantastyczny ów plan, w którym przewidziane było, wedle słów Baden-Powella, i wygłodzenie czternastu milionów ludności angielskiej, omawiał on przed wojną na publicznem zebraniu oficerskiem. Sprawozdania prasowe doszły do rąk publiczności niemieckiej i, jak twierdzi, w odpowiedzi na swoje wywody otrzymał z Niemiec cały szereg wściekłością tchnących listów, w których między innemi obdarzono go tytułem „papierowego generała". Niedoceniać przecież wpływu Niemców wywiadowców nie chce, owszem, malując wyrazistemi dość barwami już czasy wojny francusko-niemieckiej 1870 r. (podaje cyfrę 20.000 ówczesnych szpiegów niemieckich), wykazuje społeczeństwu swemu grożące z tej strony niebezpieczeństwo.

Po charakterystyce dość obfitej i dosadnej wrogów, przedstawia szpiega-wywiadowcę Anglika. Pierwszą jego cechą jest naiwność i prostota w stosowaniu środków. To owi podróżnicy, globtrotterzy, którzy z siatką na motyle, ze szkicownikiem rysownika, lubującego się w architekturze, czy z bibularzem na zioła kroczą wszerz i wzdłuż świata. Zapewne, że budzić mogą tylko obojętność czujnych władz, przyzwyczajonych do innego wyglądu ludzi podejrzanego gatunku. Wywiadowca taki to przedewszystkiem człowiek wykształcony. Umie on patrzeć i wtedy, gdy koło patrzenia staje się dla innego zamknięte, a patrzeć umie od swego rywala lepiej, sprawniej, dokładniej. Dość przyjrzeć się potem jego zbiorom, rysunkom liści, owadów, herbów i odznak. W żyłkach kwiatowych, plamach motyla wyczytać można i kształt obserwowanych fortyfikacyi i odnaleść nawet liczbę dział według rozmieszczenia i kalibru. W różnych postaciach okazuje się nam „poszukiwacz" angielski. Uczestniczy w polowaniu na rzadkie dalmatyńskie motyle, jest robotnikiem portowym, turystą alpejskim, mija po pijanemu niemieckie straże, szpieguje w Afryce na spółkę z przyjacielem murzynem, lustruje nowe nieprzyjacielskie działa, zwiedza tureckie forty, włoskie cytadele, zbiera dane o sile wojsk kolonialnych mocarstw europejskich, udziela rad i wskazówek obcym oficerom, wchodzi z nimi w towarzyskie stosunki, objeżdża na statku zbożowym wybrzeża Dardaneli, bada wytrzymałość bośniackiej piechoty, wreszcie można go zastać i w gondoli obcego wojskowego balonu.

Pominąwszy ton pewnej zarozumiałości, który może nawet nie wiele razić w ustach oficera Anglika, jak i zasadniczą pobłażliwość wobec wszystkich niemal innych, biorąc dalej pod uwagę, że książka, przeznaczona w czasie wojennym dla szerokich kół czytelników, musiała z natury rzeczy dbać o zadowolenie narodowego instynktu i oceniając z tego względu krytycznie jej treść —, można w świetle dzisiejszych wypadków przyznać jej jedną zaletę. Oto odsłania ona w lekkiej fabule zarysy tej olbrzymiej sieci, którą Wielka Brytania snuła od długich lat, przygotowując się do światowych zapasów. *b.*